

W numerze: KAROL BADZIAK *Portret człowieka z tarczą... na ramieniu* • ROMAN ŁOBODA *Hamlet doskonały?* • ANDRZEJ GRUN *Nie wszystkie ślady zasypie piach* • Wiosenny konkurs – „Wszystko o książce” • Zawszqd o wszystkim • Nowela kryminalna

odgłosy



21 (757)
21. V. 1972 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



IZABELA NAGÓRSKA

Pierwsze w Łodzi- pierwsze w Polsce

Niedawno minęło pół wieku od otwarcia pierwszej w Polsce publicznej biblioteki dziecięcej. Wydarzenie to ważne dla historii kultury bibliotekarstwa polskiego miało miejsce w Łodzi w roku 1922.

Podjęcie przez Radę Miejską naszego miasta uchwały z 30 czerwca 1919 r. w sprawie obowiązku powszechnego nauczania, rozpoczęcie w następnym roku szkolnym częściowej jej realizacji stworzyło właściwy klimat dla powstania koncepcji organizmu bibliotecznego gwarantującego m.in. możliwości rozwoju czytelnictwa dzieci i młodzieży. Czytelnictwu temu stworzono już pewne podstawy nie tyle poprzez nieliczne i słabe biblioteczki istniejących szkół ludowych ile w ramach stowarzyszeń społecznych powołanych do życia po Rewolucji 1905 r. Było to przede wszystkim Towarzystwo Krzewienia Oświaty, które w latach 1907–1915 zorganizowało 5 wypożyczalni książek udostępniających także i działy literatury dla dzieci i młodzieży. Następnie Towarzystwo Oświaty „Wiedza”, przy którym od 1915 r. działały 4 „Książnice dziecięce”. Rosnące potrzeby czytelnictwa młodocianych łodzian nie mogło jednak zaspokoić ani budujące się szkolnictwo powszechne ani placówki oparte na filantropii i poczynaniach społeczników.

Przedstawiony na III Konferencji Oświatowej w Krakowie w czerwcu 1921 r. przez kierownika Łódzkiej Biblioteki Publicznej Jana Augustyniaka „plan organizacji wzorcowej sieci bibliotek opartych na podstawie umiastowienia” (uprzednio przedyskutowany w łonie Komisji Kultu-ralno-Oświatowej Magistratu i w Kole Związku Bibliotekarzy Polskich) został przez władze miejskie zaakceptowany i jeszcze w tym samym roku przystąpiono do prac przy organizacji pierwszej z bibliotek dziecięcych. Biblioteki te miały stanowić jedno z ogniw trójstopniowej miejskiej sieci bibliotecznej obok centralnej księżnicy naukowej, tj. Biblioteki Publicznej, przejętej przez Gminę Miejską z początkiem r. 1922 od Towarzystwa Bi-

blioteki Publicznej oraz projektowanych w drugiej kolejności wypożyczalni książek dla dorosłych.

Powołana przez Oddział Obowiązku Szkolnego Wydziału Oświaty kierowanego przez dr Stefana Kopcińskiego, zorganizowana pod nadzorem głównego bibliotekarza J. Augustyniaka i Miejska Wypożyczalnia Książek dla dzieci i młodzieży rozpoczęła działalność w lokalu przy ulicy Piotrkowskiej 223 dnia 18 marca 1922 r. Wkrótce, bo już w październiku przybyła następna biblioteka tego typu — II Wypożyczalnia przy ul. Rybnej 14. Niewiele współczesnych łodzian orientuje się, iż w ten sposób wyprzedziliśmy znacznie inne środowiska w kraju. Pierwsza biblioteka dla dzieci udostępniona w 3 lata później przy Bibliotece Publicznej w Warszawie nie miała charakteru samodziśnej placówki.

W czasie gdy sprawami czytelnictwa dzieci warszawskich zajmowali się ciągle jeszcze bibliotekarze-społecznicy, Towarzystwo Biblioteki Publicznej, Towarzystwo Bibliotek dla Dzieci, gdy zostaje uruchomiona w listopadzie 1929 r. Miejska Biblioteka dla Dzieci w Dąbrowie Górniczej, istniało już w Łodzi sześć Miejskich Wypożyczalni Książek dla dzieci i młodzieży. Wielki kryzys gospodarczy zahamował powstawanie dalszych publicznych bibliotek dziecięcych, ale ich liczebna przewaga w sieci utrzymała się do wybuchu wojny, ponieważ tylko trzy Wypożyczalnie były przeznaczone dla czytelników dorosłych.

Nie tylko przodujące miejsce Łodzi w chronologii bibliotekarstwa dziecięcego ma tu duże znaczenie, ale poprzez wypracowanie zasad organizacyjnych w tej dzie-

Dalszy ciąg na str. 3

HENRYK PAWLAK

Plastyków sprawy codzienne

WYBRANO NOWY ZARZĄD,
WYBRANO NOWEGO PREZESA.
WALNE ZEBRANIE ŁÓDZKIEGO
OKRĘGU ZPAP DOKONAŁO
PRZEGLĄDU NAJWAŻNIEJSZYCH
SPRAW, KTÓRYMI TA ORGANI-
ZACJA ŻYŁA W CIĄGU OSTAT-
NICH DWÓCH LAT.

Wprowadzić w referacie ustępującego zarządu znaleźć można interesujące i godne uwagi informacje o poważnym dorobku twórczym środowiska (bo to i 50 wystaw zbiorowych i 65 wystaw indywidualnych, plenery w Kutnie i Spale, liczne nagrody żeby tylko wspomnieć o nagrodzie państwowej III stopnia dla Leszka Róży), to jednak główną uwagę skupiały sprawy nie artystyczne, lecz organizacyjne i bytowe.

Mniej się więc mówiło o tym, o jaką sztukę chodzi, o jaką trzeba walczyć, lub jaką potępiać, jaką faworyzować a jaką tolerować. Artysci mają do rozwiązania tyle kwestii po prostu życiowych, że o istocie swojej sztuki rozmawiają, w takich okolicznościach jak zebranie związkowe, dosyć niechętnie. Nie należy z tego wyciągać wniosku, że obojętne im są zagadnienia społecznego przesłania sztuki, jej ewolucji artystycznej itp.

W tych kwestiach wypowiadają się przede wszystkim swoimi dziełami, ale także i w dyskusjach o bardziej kameralnym charakterze.

Środowisko plastyczne jest najliczniejszym w Łodzi stowarzyszeniem twórczym. Zarejestrowanych jest tu, w ZPAP, 621 osób. Trzeba doprawdy niewiele lat, by liczba ta zwiększyła się do tysiąca. W ostatnich dwóch przybyło nam bowiem 113 artystów. I oto rodzi się pytanie, czy nie mamy czasem zbyt wielu artystów, czy znajdzie się dla ich twórczości odbiorca, no i miejsce pracy? Kiedy się sprawie przyjrzyć bliżej, to okaże się, że w imponującym tempie przybywa w Łodzi artystów plastyków zajmujących się projektowaniem przemysłowym, specjalistów od projektowania tkanin i odzieży, natomiast gorzej

Dalszy ciąg na str. 3



● Zawszqd o wszystkim ●

Powietrzne wrota NRF

„STERN” — HAMBURG

Prezydent Nixon zdecydował o nowej eskalacji działań wojennych w Wietnamie. Z jego rozkazu zaminowano wejścia i wyjścia z portów północnowietnamskich oraz wzmożono bombardowanie i ostrzeliwanie terytoriów DRW. Tak więc podjęto kroki, które zmierzają jednocześnie do pozabawienia ludności DRW pomocy, utrudnienia kontaktów tego kraju z innymi państwami oraz wzmagają presję militarną. Decyzje rządu USA, mające na celu blokadę DRW, godzą również bezpośrednio w kraje, które utrzymują z nią stosunki, gdyż zagrażają wolności żeglugi i bezpieczeństwa statków u brzegów tego kraju.

Podjęte przez USA kroki komplikują poważnie i zaostřejają sytuację w Azji Południowo-Wschodniej i w 8-letniej historii interwencji amerykańskiej w Wietnamie stanowią jedno z ryzykowniejszych przedsięwzięć.

Czego są one przejawem? Właściwie stanowią przyznanie się do fiaska polityki wietnamizacji, dają wyraz obawom o los reżimu sąjońskiego, któremu ofensywa sił wyzwolenieczych zaczęła poważnie zagrażać.

Pisze o tym amerykański tygodnik „Time”: „W ub. tygodniu armia południowowietnamska poniosła najcięższą klęskę... Upadek Quang Tri spowodował ponure nastroje w Sajgonie i Waszyngtonie i postawił pod znakiem zapytania wietnamizację, to jest politykę, która dawała USA nadzieję, że armia Wietnamu Południowego, kosztem ogromnych nakładów, będzie zwalczać na własną rękę komunistów. Czy armia ta jest w stanie przeżyć, nie mówiąc już o tym, czy jest w stanie odeprzeć ofensywę...?”

Z historii wojny wietnamskiej Stany Zjednoczone nie wyciągnęły żadnej nauki. Ta bowiem wykazuje, że problemu tego nie można rozwiązać na drodze eskalacji agresji. Działania takie mogą jedynie prowadzić do przewleknięcia konfliktu, po obu stronach zwiększając straty w ludziach i powodując nowe zniszczenia. Jedyną realną drogą rozwiązania konfliktu jest powrót do stołu obrad w Paryżu i poszanowanie prawa narodu wietnamskiego do decydowania o swoim losie.

W opublikowanym ostatnio oświadczeniu rząd radziecki domaga się z całą mocą niezwłocznego anulowania blokady wybrzeży DRW i naruszenia jej komunikacji morskiej, podkreślając iż z samowolnych decyzji USA Związek Radziecki wyciągnie odpowiednie wnioski, a cała odpowiedzialność za następstwa tego spadnie na Stany Zjednoczone.

Z domaganiem się bezwzględnego odwołania niebezpiecznych w skutki kroków — wystąpił również rząd polski.

„Polska, będąc członkiem Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru — czytamy w tym oświadczeniu — jest szczególnie zainteresowana w przywróceniu pokoju na Półwyspie Indochińskim. Rząd PRL dawał niejednokrotnie wyraz stanowisku, iż podstawowym warunkiem zakończenia wojny w Indochinach jest uznanie prawa narodu wietnamskiego i innych narodów półwyspu do decydowania o ich losie bez jakiegokolwiek ingerencji z zewnątrz, a jedyną drogą rozwiązania problemu — droga rokowań”.

Fala protestu przeciwko decyzjom rządu USA objęła cały świat. Wywołała również wiele niepokojów w USA. Zapowiada bowiem — wbrew oczekiwaniom znacznej części społeczeństwa amerykańskiego — kontynuowanie wojny z wszystkimi jej negatywnymi następstwami, dokuczliwie odczuwanymi w Stanach Zjednoczonych.

Amerykańskie decyzje zbiegły się (czy to przypadek?) z drugim terminem debaty ratyfikacyjnej w Bundestagu, uzgodnionym wcześniej, „przy kuflu piwa” — jak pisała prasa, między Brandtem a Barzelem. Ale i tym razem nie doszło do głosowania nad układami. Tuż przed godziną, wyznaczoną na ten akt, głosowanie przelożono na kolejną środę — 17 bm. Czy „do trzech razy sztuka”? Teraz już nawet na kilkanaście godzin przed ustalonym terminem nie można prorokować. Uważny obserwator wydarzeń w NRF nie może zresztą oprzeć się wrażeniu, że na stwarzaniu progów trudności w ratyfikacji układów zależy nie tylko opozycja, ale i bliskiemu sojusznikowi NRF. Gra ma więc szeroki zasięg i wysoką stawkę.

Ale wróćmy do samej NRF. Czołowe partie w tym kraju znalazły się na forum Bundestagu we wzajemnym szachu. Już niezależnie od tego: kiedy, czym poprzedzone i z jakim wynikiem odbędzie się głosowanie nad układami — ostatnie dni ujawniły niemożność rozstrzygnięcia przez zachodniemiecki parlament w jego obecnym składzie istotnych kwestii. Z tego na dalszą metę może wpływać tylko jeden wniosek: wyłonienie nowego Bundestagu w wyniku wyborów. Już wcześniej okazało się przecież, że układ sił w parlamencie NRF nie odpowiada układowi sił w społeczeństwie, które w większości akceptuje politykę wschodnią rządu Brandta-Scheela.

Zwłoka w głosowaniu nad ratyfikacją układów jest pewną wygraną opozycji. Czas, jaki pozostał do nowego terminu, obie czołowe partie: SPD i CDU wykorzystują na dalsze rozmowy. Czy przyniosą one jednak rezultaty?

W. ŚLAWSKI

Z głosników padają egzotyczne nazwy: Caracas, Dar-es-Salaam, Kuala Lumpur, Lima... Zapalają się i gasną neonowe napisy. Ryczą silniki. Jarzą się jaskrawym światłem nazwy wielkich zachodniemieckich kompanii. W kantarach, gdzie wymienia się walutę, różnorodny gwar. Szoferzy i tragarze dźwigają bagaże solidnych biznesmenów. Taki rytm utrzymuje się przez okrągłą dobę.

Jesteśmy we frankfurckim porcie lotniczym, czwartym co do wielkości na świecie. Są to powietrzne wrota Republiki Federalnej. Ubiegłego roku przekroczyło je ponad 10 milionów pasażerów. Po uruchomieniu, w marcu bieżącego roku, nowego portu lotniczego dla gigantów pasażerskich, zdolność przelotowa portu powinna się zwiększyć do 30 milionów pasażerów rocznie.

Ani jeden macher bankowy nie wyobraża sobie bardziej idealnego miejsca na ziemi do przeprowadzania transakcji, niż Frankfurt nad Menem. Istotnie, nie wiele jest miast na świecie, w których wielki kapitał międzynarodowy czuły się aż tak „swojsko”. Tutaj znajduje się sztab generalny większości banków NRF, nie licząc przedstawicielstw dziesięciu największych banków świata, z którymi nader ściśle są związane zachodniemieckie firmy handlowo-finance. Tutaj mieści się Bank Federalny, działająca frankfurcka giełda, zajmująca — jeśli idzie o skalę jej operacji — czwarte miejsce w świecie.

Frankfurt w pocy... To jedna z głównych trosk federalnej policji kryminalnej. Gdy w domach gasną światła, a kompanie ubezpieczeniowe i banki zamykają swoje biura, budzą się do życia władcy podziemia i ich podwładni: prostytutki i sutenerzy, włamywacze i właściciele spelunek. „Kochają” oni Frankfurt za to samo, za co „kochają” go przedstawiciele bankowego i przemysłowego establishmentu: za korzystne położenie geograficzne i nieograniczone możliwości...

Świat przestępczy zresztą wykorzystuje pobażliwość frankfurckiego wymiaru sprawiedliwości. W ubiegłym roku policja kryminalna wykryła tu wielką, międzynarodową organizację gangsterską i aresztowała 55 jej członków. Na liście „operacji” tej bandy znajdowały się takie pozycje, jak: produkcja fałszywych pieniędzy, handel narkotykami i bronią palną, werbowanie klienteli, grabieże sklepów jubilerskich, zabójstwa na zamówienie.

Dobroliwi sędziowie zażyczyli się o to, żeby wysilek policji poszedł na marne, 30 gangsterów od razu zwolniono z aresztu. Nawet nie czekali na sąd. Pozostali, albo wykrecili się niskimi wyrokami, albo zostali uniewinnieni.

Gangsterzy, podobnie zresztą jak i bankierzy, mają świetne kontakty z zagranicą. Przekształcili oni Frankfurt w największe na Zachodzie centrum paserskie. Klejnoty, zrabowane w Mediolanie, dostarczają frankfurckie „firmy” londyńskim jubilerom. Tutaj zjeżdżają się z różnych krajów zachodnich eksperci podziemia. Nie omijają oni, oczy-

wiście i innych miast NRF, ale tylko we Frankfurcie zachodniemiecki świat przestępczy „osiągnął” poziom międzynarodowy.

Już od wielu lat Frankfurt zajmuje pierwsze miejsce w zachodniemieckiej statystyce przestępczości. Notuje się tutaj ponad 50 tysięcy przestępstw w ciągu roku. A policji jest wciąż za mało — 655 miejsc czeka na kandydatów.

Frankfurt porównuje się często do Chicago. Jest to oczywiście przesada. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że Frankfurt — jak żadne inne miasto w NRF — dzieli zaledwie krok od najgorszych amerykańskich wzorców bandytyzmu i gangsterstwa. Mowa tu zresztą nie tylko o przestępczości. Głęboka przepaść między prywatnym bogactwem a nędzą gospodarki komunalnej powoduje we Frankfurcie te same schodzenia, które doprowadziły do degradacji i zaniedbań wiele miast w Stanach Zjednoczonych.

We Frankfurcie spekulacja ziemią osiąga fantastyczne rozmiary. Jeśli komuś uda się zdobyć tutaj działkę budowlaną, ten najszybciej może zostać milionerem. W atmosferze tej „gorączki złota” ceny na ziemię skończyły do 12 tysięcy marek za metr kwadratowy! W tym mieście „wielu możliwości” poznałem niejakiego p. Buchmanna. W oczach nazywają go „królem” spekulantów ziemią. Przez osiemnaście lat kierował przesławnym „New York City Bar”, później został właścicielem restauracji „Imperial”. Mając wprost cudowny wdech koniunktury, skupował najbardziej obiecujące działki budowlane, a następnie, gdy ceny osiągnęły maksymalny poziom, odsprzedził je masowo. Dziś Buchmann jest multimilionerem.

Władze komunalne Frankfurta — a zmieniały się one w ostatnich latach dość często — zawsze odnosiły się z życziwą cierpliwością do machinacji spekulantów. Władze miejskie wspaniałomyślnie wydają zezwolenia na budowę imponujących hoteli i dochodowych domów. Wielki, szary parawan drapaczy chmur, strzelający w górę z samego centrum miasta, stał się swego rodzaju symbolem Frankfurta. Zawsze brakowało tu jakiejś sensownej koncepcji odbudowy i zabudowy miasta, zniszczonego podczas wojny nieomal całkowicie. Ojcowie miasta świecie wierzyli, że dobrobyt Frankfurta zależy tylko od tego, na ile solidne są i wpływowe firmy, które otwierają tutaj swoje przedstawicielstwa.

Co więcej, ojcowie miasta myśleli tylko o podatkach, które „szeroka rzesza” popłynęła do miejskiego skarbcza. Stały wzrost cen za działki budowlane i wzrost czynszów bynajmniej nie spędzał im snu z powiek. Teraz magistrat musi drogo płacić za własną krótkowzroczność — płacić za działki budowlane pod gmachy użyteczności publicznej, i to po spekulacyjnych cenach.

O siódmej wieczorem ulice Frankfurta pustoszeją. Co dzień przyjeżdża tu do pracy około 200 tysięcy osób, wiele własnymi samochodami. Nie omijają oni, oczy-

wiście nad miastem zmusza mieszkańców centrum do ucieczki na peryferie. Z innych powodów opuszczając stopniowo centrum małe przedsiębiorstwa i sklepy — po prostu nie mogą płacić za wynajem lokali nieopornie wysokich cen.

Jeszcze gorzej stoją sprawy w innej części miasta — frankfurckim West-Endzie. Przybysze — bogacze wykupili tutaj działki budowlane i domy. W wyniku tego mnóstwo rodzin zostało wysiedlonych z mieszkań. Wkrótce wiele domów opustoszało, a ich nowi właściciele żądają zezwoleń na rozbiorczą budynków, zamierzając wybudować na ich miejscu gmachy, przeznaczone na biura i przedsiębiorstwa. W czasie, gdy w najbliższym Frankfurcie nie ma dachu nad głową ponad tysiąc studentów, a wielu mieszkańców miasta vegetuje w okropnych warunkach, w West-Endzie burzy się domy mieszkalne, i to wcale nie rudery.

W żadnym innym mieście NRF sprzeczności współczesnego kapitalizmu nie ujawniają się z taką jaskrawością, jak we Frankfurcie. Z jednej strony fasady pałaców ze szkła i aluminium świadczą rzekomo o powszechnym bogactwie. Z drugiej strony Frankfurt jest najbardziej biednym miastem NRF. Jego zadłużenia komunalne osiągnęły sumę półtora miliarda marek. Władze miejskie, zmuszone

do przestrzegania przepisów, chroniących nietykalność własności prywatnej, nie są zdolne do obrony interesów ludzi pracy przed właścicielami wielkiego kapitału.

Ale właśnie te sprzeczności uwarunkowują burzliwy rytm życia miasta. Współczesny Frankfurt uważany jest za jeden z centrów ruchów postępowych w NRF. Właśnie tutaj znajduje się sztab „Młodych Socjalistów” (organizacja młodych członków partii socjal-demokratycznej, często występująca z krytyką stosunków kapitalistycznych w NRF — red.). Ku niezadowoleniu burżuazyjnej gazety „Frankfurter Allgemeine”, w Wyższej Szkole Państwowej prowadził się seminarium marksistowskie, a w Klinie Miejskim świadomość polityczną mas pracujących budził się przy pomocy filmów o tematyce rewolucyjnej. Naczelnik wydziału kultury zarządu miejskiego Frankfurta, Hoffman, zaproponował, by kierownictwo Miejskiego Teatru Dramatycznego oddać w ręce ucznia Brechta, reżysera Petera Palitzscha. W przyszłości Hoffman zamierza „bardziej energicznie wyjść ze sztuką do ludności miasta”. Nowy nadburmistrz Frankfurta jest także człowiekiem postępowym. Mówi się o nim, że zamierza on włączyć wreszcie za kołnierz spekulantów działkami budowlanymi.

Starość — pojęcie względne

„OBSERVER” — LONDYN

W naszych czasach coraz więcej ludzi dożywa pięknego wieku, i jednocześnie przybywa coraz więcej faktów, które zmuszają do zrehabilitowania dotychczasowego poglądu na okres życia człowieka, który zwykliśmy nazywać starością.

Pierwszoplanową rolę w przedłużeniu życia człowieka gra fizyczna i intelektualna aktywność, które nie powinny słabnąć także w wieku starszym. Przeprowadzone badania dość licznej grupy ludzi na Syberii, mających sto i więcej lat, wyraźnie wykazują, że właśnie wyteżona praca fizyczna pomaga im przeżyć najtrudniejsze czasy, przewyciężyć choroby i głód, tak charakterystyczne dla carskiej Rosji, nie zginąć w surowym klimacie. Przez całe swoje życie przejawiają oni wielką aktywność życiową. Wielu spośród nich nie uważa się za starych.

Oczywiście odgrywają tu także rolę korzystne warunki naturalne, na co wskazują długowieczność mieszkańców Kaukazu. Nie są natomiast na stresy, oddychają czystym powietrzem, jedzą dużo owoców. Jednakże i wśród nich główną rolę w długowieczności odgrywa aktywność życiowa.

Negatywną rolę w życiu człowieka odgrywa rozpowszechniony a priori pogląd, że — poczynając od lat średnich — organizm ludzki musi się koniecznie „zużywać”. Ten termin, zaczerpnięty ze świata mechaniki i głęboko zakorzeniony w ludzkich umysłach, wywiera zły wpływ zarówno na ich stosunek do siebie, jak i do otoczenia.

Zdolność organizmu do regeneracji i odradzania się pod wpływem ćwiczeń fizycznych nie kończy się z biegiem lat, pod warunkiem jednak, że organizm jest stale pobudzony aktywnością fizyczną, oczywiście w rozsądnych granicach.

Gerontologia nie wyszła jeszcze z wieku dziecięcego,

ponieważ postawione przed nią problemy biologiczne są nieprawdopodobnie złożone. Ale już dziś można powiedzieć, że ostatnie wyniki badań w tej dziedzinie stwarzają nader obiecujące perspektywy. Niektórzy gerontolodzy twierdzą nawet, że aktywność fizyczna jest zdolna zmienić sam proces starzenia się, dzięki wzajemnym związkom pomiędzy systemem nerwowym, mięśniowym i wewnętrznymi organami ustroju.

A co można by powiedzieć o osłabieniu funkcji mózgowych, postępujących jakoby wraz z przybywaniem lat? Tutaj też niemały wpływ wywierają utarte poglądy. Mniema się, iż w miarę starzenia się, zmniejsza się także zdolność przyswajania nowych wiadomości. Jednakże ostatnie badania naukowe wykazały, że ludzie w starszym wieku mogą z powodzeniem zdobywać wiedzę, potrzebując na to tylko więcej czasu, niż młodzi. Uczeń próbował odpowiedzieć na pytanie: dlaczego tak się dzieje? Zadał te same lekcje grupie ludzi starszych i grupie ludzi młodych. Zgodnie z oczekiwaniami, starsi potrzebowali więcej czasu na wyuczenie się lekcji. W czasie doświadczenia wszystkim pobrano krew. Analiza biochemiczna wykazała, że „starsi uczniowie”, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, denerwowali się więcej, znajdowali się w stanie napięcia nerwowego. Kiedy podano im lekarstwo, zmniejszające stres, nauczyli się lekcji w tym samym czasie, co młodzi. Co to oznacza? Starsi ludzie mają potencjalne możliwości, których nie pełnią nie wykorzystują. Potencjał ten należy nieustannie mobilizować. Nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, żeby organizm, stosunkowo zdrowy, starszego człowieka nie był zdolny reagować na rozumne stymulowanie wszystkich jego funkcji.

● Zawszqd o wszystkim ●

Zawszqd o wszystkim ●

Plastyków sprawy codzienne

Dalszy ciąg ze str. 1

jest z malarzami, grafikami czy zwłaszcza rzeźbiarzami. Liczy się tutaj wymowne. Średnia wieku członków sekcji malarstwa Okręgu Łódzkiego ZPAP wynosi 50,5 roku, natomiast sekcji rzeźbiarskiej 49,5 roku. Jest to fakt nie bez znaczenia dla przyszłości rozwoju sztuki w Łodzi, naturalne procesy twórcze wymagają bowiem ścierania się różnych racji artystycznych, a wśród nich i takich, które przynosi każde nowe pokolenie.

Sprawa ta żywo obchodzi łódzkie środowisko plastyczne, które występuje z propozycjami dotyczącymi zmiany profilu nauczania w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Zmiany te powinny — zdaniem tego środowiska — doprowadzić do wychowywania odpowiedniej liczby artystów uprawiających różne dziedziny sztuki, a w tym i tzw. sztuki czystej. Zresztą bez dobrze postawionego w uczelni malarstwa, grafiki czy rzeźby trudno mówić o randze artystycznej i właściwych kwalifikacjach zawodowych plastyków „użytkowców”. Są to prawdy oczywiste.

Inną natomiast rzeczą jest, to czy sprawy oczywiste decydują o pewnych prawidłowościach życia społeczno-ekonomicznego. W roku 1975 będziemy mieli na 1000 członków ZPAP, jeśli się sytuacja nie zmieni, około 700 projektantów przemysłowych. To zawężenie wykształcenia do spraw projektowania, które jest oczywiście samo w sobie sztuką takiej samej rangi jak tzw. sztuka czysta, musi się odbijać na atmosferze życia artystycznego w mieście. Dodajmy jeszcze, że status plastyka — projektanta w przemyśle jest daleki od precyzyjnego określenia, co powoduje wiele zamieszania i rozgoryczenia w tym środowisku, ale o tym nieco później.

Z jednej strony walczymy o właściwą pozycję twórczości artystycznej w zakresie plastyki, z drugiej zaś istnieją poważne trudności z jej popularyzowaniem. W powszechnej opinii łódzkich plastyków brak galerii wystawowej z prawdziwego zdarzenia uniemożliwia sensowną prowadzoną działalność wystawienniczą, pokazywanie dorobku twórczego w odpowiednich warunkach, to znaczy budzących szacunek widza i stwarzających dla dzieła maksymalnie korzystne warunki ekspozycji. Od lat nie ma takiej dyskusji o plastyce w Łodzi, by nie wracać do tego tematu. Powie- dział bym nawet, że dokonał się pewien proces fetyszyzacji tego obiektu.

Wszyscy jakby uwierzyli, że galeria rozstrzygnie wszelkie problemy rozwoju sztuki w Łodzi. Jest to — rzecz jasna — złudzenie, a ponadto takie przeświadczenie może działać destrukcyjnie, zniechęcać do innych prób upowszechniania sztuki. Na szczęście ostatnio mimo braku galerii robi się coraz więcej na tym polu, formy zastępcze ekspozycyjne dzieł sztuki takie np. jak małe salony wystawowe w osiedlach mieszkaniowych, okazują się — w niektórych wypadkach — czymś podstawowym w tym działaniu.

Osobnym tematem związkowych debat plastyków są warunki mieszkaniowe i bytowe artystów. Na 621 członków ZPAP w Łodzi 235 osób pracuje etatowo w różnych instytucjach, w tym 122 osoby we włókiennictwie, 54 w szkolnictwie, 59 w innych instytucjach. Kwestia zawodowego zatrudnienia plastyków jest bardzo skomplikowana i złożona. Projektanci przemysłowi, niejako z natury swego wykształcenia i przygotowania są pozornie predestynowani do pracy etatowej, w określonych komórkach projektowania natomiast artyści uprawiający sztukę czystą, podejmując pracę etatową stają często w sprzeczności z istotą swego zawodu wymagającego twórczego wysiłku w indywidualnej pracowni, w nigdy nieokreślonym czasie.

Ale nawet ci artyści, którzy pracują w przemyśle nie są tam traktowani właściwie jak artyści, ranga tego specyficznego zawodu jest tam niestety znikoma, a świadomość tego, że ich twórczość stanowi często o standardzie i wartości handlowej wyrobu jest bardzo niska. Stąd szacunek dla pracy plastyka jest w przemyśle prawie równy zeru, nikt nie honoruje autorstwa projektu, ochrona praw tego autorstwa jest wielce problematyczna.

Wydać się, że najlepszym rozwiązaniem byłoby z jednej strony ograniczenie liczby artystów projektantów do rozsądnych granic, pozwalających na utrzymanie się w zawodzie artystów wybitnie utalentowanych, z drugiej zaś strony stworzenie odpowiednich warunków dla ich pracy. Moim zdaniem tych artystów nie powinien zatrudniać etatowo przemysł, lecz powinni mieć oni własne pracownie ze stałą kontraktową subwencją, a projekty powinny być na zasadzie „towaru” najwyższej jakości zakupowane po cenach godnych ich istotnej wartości. Ani bowiem artysta projektant nie powinien być — tak jak dotąd — ubogim krewnym przemysłu, ani przemysł „dobroczyńcą”, lecz kontrahentem, któremu współpraca z plastykiem po pro-



Fot. E. Kudaś

tu się opłaca i za którą musi ponosić finansowe konsekwencje.

I wreszcie inna jeszcze, codzienna sprawa artystów-plastyków — sprawa pracowni. W ciągu minionych dwóch lat otrzymali oni w Łodzi 19 pracowni w nowym budownictwie. Nie jest to liczba zbyt wielka. Potrzeby są znacznie większe. Rzecz w tym jeszcze, jakie to będą pracownie, czy przystosowane do potrzeb artystów uprawiających różne dziedziny sztuki, czy będą to pracownie

połączone z mieszkaniami, czy dla rzeźbiarzy wzniesie się pawilony wolno stojące, do których łatwo byłoby przywieźć tak ciężki materiał jak glina, kamień itp. i w których można pracować nie przeszkadzając sąsiadom.

Tak więc przed nowym Zarządem Łódzkiego Okręgu ZPAP stoi wiele trudnych do rozwiązania kwestii, a te o których piszę, są tylko wybranymi i w głównych zarysach tylko nakreślonymi.

HENRYK PAWLAK

Listy do Redakcji

W związku z artykułem pt. „O tym jak pewien detektyw-amator chciał wykryć aferę w Spółdzielni Inwalidów „Tęcza” w Łęczycy, zamieszczonym w wydaniu 8, z lutego 1972 r. — Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi uprzejmie zawiadamia, że zostało przeprowadzone postępowanie wyjaśniające w trakcie którego ustalono niedociągnięcia w zakresie prowadzenia dokumentacji lekarskiej przez lek. med. Kazimierza Trafankowską.

W związku z powyższym całość akt przekazano do rozpatrzenia przez Okręgową Komisję Kontroli Zawodowej w Łodzi.

Jednocześnie tut. Wydział formułuje, że w trakcie przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego dopatrzone się współdziałania pracowników Spółdzielni Inwalidów „Tęcza” z lek. med. Kazimierzem Trafankowską w zakresie usunięcia orzeczeń wydanych przez w/w lekarza medycyny.

W związku z powyższym zwrócono się do Okręgowego Związku Spółdzielni Inwalidów w Łodzi, w celu przeprowadzenia dokładnego dochodzenia w omawianej sprawie i w stosunku do winnych wyciągnięcia konsekwencji służbowych.

Prez. Woj. RN w Łodzi
Wydz. Zdr. i Op. Społ.
Z-ca Kierownika Wydziału
(—) Aleksander Kazimierzczak
lekarz med.

Pierwsze w Łodzi- pierwsze w Polsce

Dalszy ciąg ze str. 1

dzinie nasz wkład do rodzącej się koncepcji jednolitej ogólnopolskiej sieci bibliotek powszechnych. Rolę „elementów modelu” odegrały:

- powiązania merytoryczne a zwłaszcza instruktażowe placówek sieci miejskiej z centralną Biblioteką Publiczną;
- struktura księgozbiorów beletrystyczno-popularnonaukowych, ich liczebność gwarantująca co najmniej trzy książki na czytelnika;

- niezależność wypożyczalni publicznej od szkoły mimo niejednokrotnie ich wspólnej lokalizacji.

Zwłaszcza pionierskim charakterem odznaczała się metodyka pracy z czytelnikiem stosowana przez bibliotekarzy łódzkich już w latach 1922–1925. Podobnie, jak dzieje się to współcześnie, nie poprzestawano wyłącznie na gromadzeniu, opracowaniu i udostępnianiu księgozbiorów, ale podejmowano różne formy oddziaływania wychowawczo-pedagogicznego w celu pogłębienia czytelnictwa poszczególnych abonentów czy całych grup.

Z osobą kierowniczką II Wypożyczalni, Ireny Augustyniakowej, łączą się opracowania ciekawych imprez bibliotecznych, w których ilustrowano muzyką i rysunkiem teksty bajek i utworów literackich oraz tak zwanych „czytanek rozmownych” z zakresu piśmiennictwa naukowego, a także wprowadzona do biblioteki instytucja samorządu czytelników wg wzorów zagranicznych. Formy te stały się przykładem dla wielu pracowników bibliotek nie tylko łódzkich. Maria Tomaszewska kierowniczką I Wypożyczalni od zarania jej działalności prowadziła pogadanki informacyjne i obserwacje czytelnictwa. Kontynuacja tych form i różne inne inicjatywy szkolonych przez MBP i Zw. Bibl. Pol. następnych pracowników z lat późniejszych, stworzyły na bazie solidnej fachowej techniki poważny dorobek pracy kulturalno-oświatowej.

Z doświadczeń przedwojennych można było czerpać, gdy po zniszczeniach okupacji hitlerowskiej poczęto w nowych warunkach ustrojowych Polski Ludowej po raz drugi budować miejską sieć biblioteczną w Łodzi. Jej zasięg miał być wielokrotnie zwiększony, ale poczesne miejsce

dla placówek dziecięcych nadal zachowane.

Obecnie, w 50-lecie otwarcia tej „najpierwszej w kraju”, uruchamia się trzdziestą pierwszą z kolei bibliotekę dla dzieci i młodzieży na terenie Dzielnicy Górna w pięknym lokalu przy ul. Trażniańskiej.

Nie jest to mało, wzięwszy pod uwagę, że zaczęliśmy w 1945 r. od zera, ale potrzeby środowiskowe w niektórych rejonach są jednak większe i należy o tym pamiętać. Trzeba było z powodu braku lokali w bibliotekach dla dorosłych w Dzielnicy Śródmieście utworzyć 2 oddziały, a w innych dzielnicach wydzielić kąciki dziecięce. Pod koniec ub. roku, czytelników do lat 15, zarejestrowano prawie 42 tys. wypożyczeń ok. 1 mil. 115 tys. vol. Księgozbiory bibliotek i oddziałów młodzieżowych przekraczają obecnie 280 tys. vol.

Mimo rozbudowy sieci bibliotek szkolnych, dzieci i młodzież szukają w publicznych wypożyczalniach nie tylko rozrywki i zaspokojenia swoich zainteresowań i upodobań czytelniczych, ale również lektur obowiązkowych, informacji, pomocy w nauce, zwłaszcza w przedmiocie „wychowanie obywatelskie”. Pomagają im w tym także terenowe Czytelnie Naukowe, które w liczbie 9 uzupełniają 5 Bibliotek Dzielnicowych i 46 rejonowych dla dorosłych.

W roku jubileuszowym należy życzyć, aby zgodnie z półwiecznymi tradycjami łódzkie placówki biblioteczne dla dzieci, dążąc do coraz wyższego poziomu w obojgu współpracy z bibliotekami szkolnymi wypełniały owocnie wszystkie stawiane im zadania kulturalne, oświatowe, wychowawcze. Tworząc stały nawyk obcowania z książką wśród najmłodszych niechaj kładą podwaliny na lata przyszłe pod wartościowe o szeroki zasięg czytelnictwo starszych.

IZABELA NAGÓRSKA

Mała, zagrzebana w piaskach rybacka osada. Morze, pas ubitego falami piachu, na nim kilka rybackich łodzi, potem piach sypek grząski, w nim przycupnięte chałupy, dalej las sosnowo-świerkowy wyrznięty wysoko z pióropuszcami gałęzi po zawietrznej, pachnący, gwarzący z morzem od lat, a w nim dwa małe jeziora-bliźniaki z wodą czystą i chłodną. Tych chałup z osiem czy dziewięć, wszystkie drewniane, gontem kryte, dwie czy trzy zaledwie pod blachą. Przy każdej charakterystyczne płoty ze starych sieci ogradzające mizerne ogródki. Na podwórkach, przy szopach rybacki sprzęt i wielkie, szklane, opalizujące kule używane za splewy. Nie budują tu murowanych domów, bo letnicy rzadko zaglądają, chyba, że czasem ktoś z rodziny, co do miasta wyjechał, ale z tych przecież pieniędzy nie ma.

To Rzekowo, osada, którą prędzej czy później zasypie piasek.

Chałupa Jana Mateusza Sali na boku trochę siedzi, tak, że żadna inna nie zasłania jej ani morza ani lasu. I słychać w niej raz poszum lasu, raz pochłapywanie fal, obliżających brzegowy piasek. On sam, jak sosny w tym lesie — wysoki, żyłasty, trzymający się prosto mimo swych prawie osiemdziesięciu lat. Twarz w bruzdach, w pajęczynie zmarszczek, wystające kości policzkowe i długi, suchy nos, jaki na drzeworytach Skoczylasa mają Janosiki. I oczy w tej twarzy dziwne, bo wcale nie niebieskie ani szare, a czarne jak dwa kawałki węgla i bez tej niesamowitej pustki, jaką mają oczy ludzi, którzy całe życie przy morzu żyją, a przeciwnie, pełne błysków, światełek, ruchliwej niespokojności pod krzakami brwi gestych, białych. Do tego konterfektu dodać jeszcze trzeba, że oczy Jana Mateusza Sali są lekko skośne, i że kiedy idzie, widać, że jest kulawy.

O Janie Mateuszu Sali opowiedział mi mój przyjaciel, bieszczadzko-światowy włóczęga, architekt Jędrzej Sowiński, który na Korsycie ma swoje atelier i zarabia na budowaniu willi tyle, że starczy mu na różne dziwne peregrynacje po różnych dziwnych częściach świata, i który ma to cudowne szczęście, że na jego drodze stają zawsze ludzie niecodzienni, ciekawi, dziwni, tacy, co zrezygnowali z życia, albo tacy, co to z życiem brali się za bary od — jak to się mówi — szczeniaka. Tak więc od Jędrki dowiedziałem się, że dziadkiem Jana Mateusza Sali za nad wyraz aktywny udział w Powstaniu Styczniowym poszli z łaskawej woli Imperatora w kraj jakucki. Tych Salów było trzech: Jan, Mateusz i Wojciech. Do Jakutów doszedł tylko Wojciech. Jana i Mateusza zamęczono po drodze, Wojciech zaś ożenił się z córką zesłańca i w ten to sposób ród Salów oparł się łaskawej woli Najmilszemu Panującemu. Zaś, aby uszanować pamięć braci, którzy w obcej ziemi legli, Wojciech przykazał, aby każdy pierwszy syn w rodzinie nosił dwa imiona: Jana i Mateusza. I tak też było zawsze.

Salowie polowali w tajdze, żenili się z córkami innych zesłańców, żyli i pamiętali zawsze skąd pochodzą i jakim mówią językiem. Jeden tylko z Salów uległ wdziałom czarnookiej i czarnowłosej córki tajgi i pojął ją za żonę i tu mamy wyjaśnienie pierwszej tajemnicy Jana Mateusza z Rzekowa — to po swojej matce

ściągali niezawodnie Szkopów w najbardziej trudnych warunkach. Miał szczęście, bo dopiero pod Kołobrzegiem dostał — w udo i w kolano. Widocznie chronił go wytarty, srebrny szkaplerzyk z Matką Boską Częstochowską, który do jakuckiego kraju z Małopolski przyniósł z sobą w 1863 r. Wojciech Sala. Ale też nie uchronił do końca.

Zanim Sala wykurował się z ran, skończyła się wojna.

W trzecie swoje wcielenie Jan Mateusz Sala wszedł z kilkoma orderami, mocno kulejąc. Mówił sobie, że jest wreszcie oto na ziemi swoich dziadów, ale też nie bardzo wiedział, co na tej ziemi ma robić. Proponowali mu to i owo, ale wszystko to było obce traperskiej duszy, nawykłej do swobody i przestrzeni, były chwile, kiedy Sala myślał, że na tej ziemi dziadów dla niego miejsca nie ma. I nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie szczęśliwe

precz do morza. A potem zwinął manatki i wyjechał. Znalazł sobie wtedy to Rzekowo, dziurę, którą zasypywał piasek, i osiadł w chacie między morzem a lasem. I tu jest początek czwartego wcielenia Jana Mateusza Sali, wcielenia, które nas najbardziej interesuje, ale o tym za chwilę.

To wszystko, co wiem o Sali, opowiedział mi mój kumpel, Jędrzej, słoneczny włóczęga, namawiając mnie, abym tam zajrzał kiedyś, do tej dziury, którą zasypuje piasek. Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Rzekowa, było upalne lato. Słońce, gorący piach po kostki, Chałupy brudnoszare jak indyckie w tym piachu i tylko ta, między morzem a lasem, inna chałupa. Nie mogłem zrazu zdać sobie sprawy na czym ta jej inność polega i nagle uświadomiłem sobie — malwy! Pod oknami rosły prawdziwe, wołyńskie malwy, do samego dachu, takie same jak na obrazach Wrzesz-

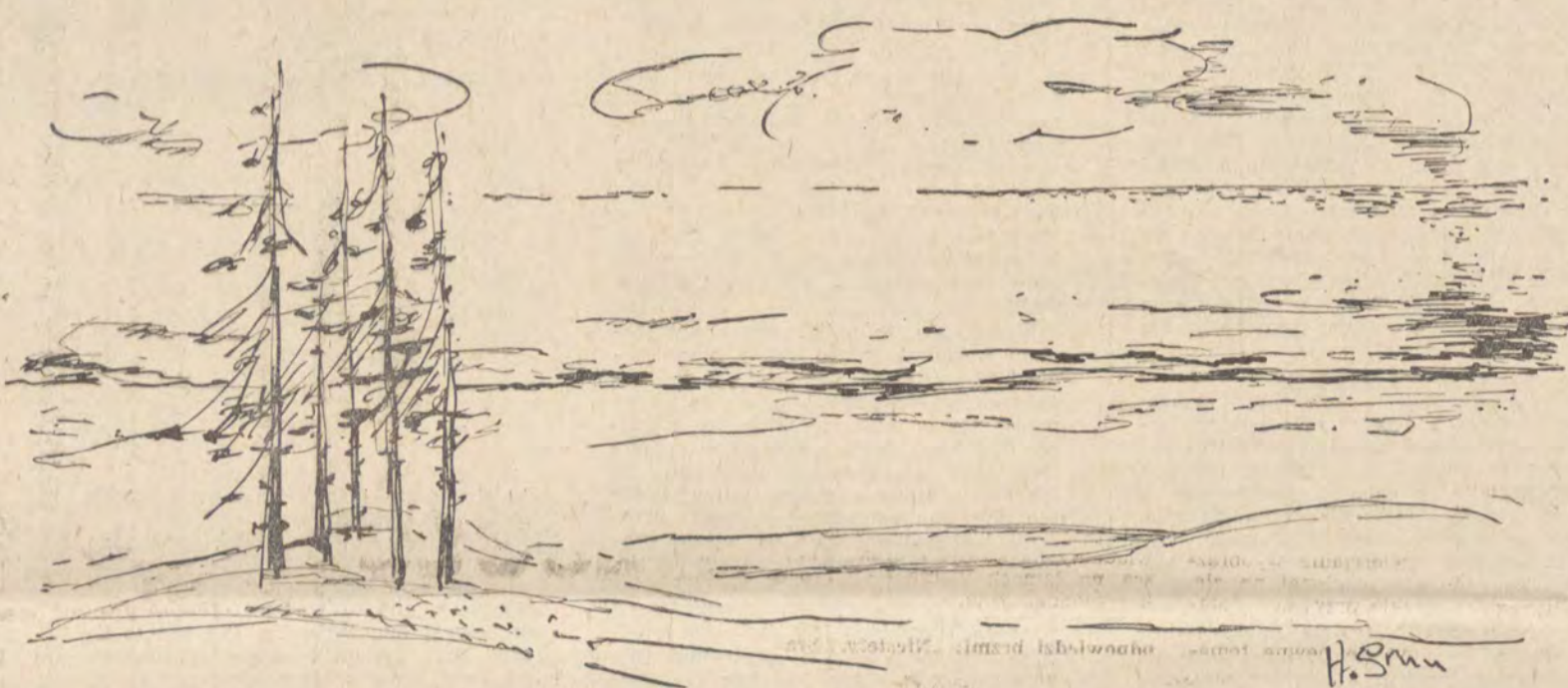
nie oczyma z bursztynu, muszelek i kamyczków, a stary, żyłasty, prosty jak te sosny za domem Sala, patrzył na mnie i uśmiechał się smutno i życzliwie. Chodziłem po izbach, brałem do ręki owe pogańskie rzeźby, na polu ptaki, na polu ryby, z ludzkimi, albo zwierzęcymi łbami, pokryte ornamentami, z których jedno było rodem z Bałkanów, a inne z Łowicza i Krakowskiego. Była w nim siła wyobraźni, w każdej zamknięta jakaś mądra, zasłyszana czy wymyślona legenda. Była w nich pasja wędrowca, który zdeptał niejedną drogę i miłość człowieka, który wiedział, co to jest miłość.

Kiedy po raz drugi przyjechałem do Rzekowa, dał listopadowy wiatr od morza i szum lasu zlewał się z pomrukiem fal. Sala rzeźbił pogańską szopkę. Święty Józef miał leć niedźwiedzia. Matka Boska była łasicą z rybim ogonem, a mały Jezus był małym, bezbronnym bobrem z bursztynowymi oczkami. Zamiast baranków, przy żłobie leżały psy jakuckie, a Trzej Królowie to był renifer, tygrys i orzeł. Herodem był wielki basior-samotnik. Śmierć przypominała sowę płaską jak fladra i tylko gwiazda nad szopką była taka sama, jak nad wszystkimi innymi szopkami gdzie indziej — złota, z długim kolistym ogonem.

Trzy wcielenia Jana Mateusza

ANDRZEJ GRUN

Nie wszystkie ślady zasypie piach



odziedziczył on owe skośne i czarne oczy i wystające kości policzkowe.

43 lata miał Jan Mateusz Sala, kiedy wybuchła wojna. Był młodym w syberyjskiej tajdze. Oko miał niezawodne, pewną rękę, silny był jak tur — ot, chłop niedźwiedzim mięsem karmiony, kunsztem łowieckim rodowitych Sybiraków przewyższał. Akurat nastaly czasy, gdy pewne oko, wytrzymałość i odwaga były w cenie najwyższej. Wleści ze świata w tajgę długo idąc, ale Jan Mateusz Sala był jednym z pierwszych, którzy znaleźli się w Sielcach. I tak zaczęła się droga powrotna Sali do ojczyzny.

Przez cały czas swojego wojowania, a było ono nader intensywne, i Sala poświęca mu się bez reszty i z prawdziwą pasją, był on w zwłazie. Zasłynął jako znakomity snajper, który

spotkanie z kumplem, z którym razem czolgali się pod szkopskie okopy, aby dla sztabu złapać języka. Ten to kumpel, rybak, namówił Salę na swój kuter. Zaczęli razem pływać i syberyjski traper zasmakował w morzu. Wkrótce został samodzielnym rybakim, a ponieważ w naturze jego leżało robienie dobrze tego co robi — rybakim był dobrym. Ożenił się z siostrą swego kumpla i wszystko wskazywało na to, że życie jego, potoczy się już normalnym torem. Los jednak chciał inaczej.

Sala dwa lata. Jeno grał się przy domowym ognisku. Umarła mu przy porodzie żona, a dzieciak, któremu dano na chrzcie, jak trzeba było, Jan Mateusz, też nie wyżył. I wtedy oczy Sali, skośne i czarne, pociemniały jeszcze bardziej i zwięzły się w dwie wąskie szparki. Zerwał z szty wytarły, srebrny szkaplerzyk i cisnął

za. I nie potrzebowałem już pytać o Jana Mateusza chałupę. A kiedy otworzył mi drzwi i popatrzył z góry tymi czarnymi, skośnymi oczyma, spokojnie, uważnie i życzliwie, wiedziałem już, że mam przed sobą trapera z syberyjskiej tajgi, który był żołnierzem Polskiej Armii, został rybakim, a na koniec, u schyłku dni swoich... ano, właśnie, teraz będzie o czwartym wcieleniu Jana Mateusza Sali — a na koniec wziął się za drzewo i dluto.

Jan Mateusz Sala już 20 lat dłużej w drzewie. W jego chałupie, w trzech izbach wszędzie rzeźby i rzeźby. I Sala z jakimś bardzo smutnym uśmiechem mówi: To moja rodzina, to cała moja rodzina, moje dzieci.

I stałem oniemiały, onieśmielony pośród tych stworów przedziwnych, wyciosanych z lipy i buczyny, które wygapiły się we

Sali nie byłoby warte opowiedzieć, bo sam ich schemat nie jest przecież niczym wyjątkowym, a takich Salów od Szczecina do Wrocławia znajduje się wielu. Ale właśnie zakończenie tej opowieści — to czwarte wcielenie — owe słowiańsko-jakuckie bożki, dzięki którym Jan Mateusz żyje równie pełnym życiem jak kiedyś w tajdze, czy potem, kiedy na głowie nosił zieloną rogatywkę z orzełkiem, czy jeszcze potem, kiedy wypływał w łodzi na bałtyckie połowy, stanowił dla mnie kłamrę opowieść tę spinającą, jej logiczne, choć nietypowe zakończenie. To odrodzenie się w trudzie tworzenia, traktowanie sztuki jak zawodu, twórczości jako źródła siły i godności i szukanie w niej akceptacji swojego istnienia, było dla mnie głównym powodem spisania tej opowieści.

KAZIMIERZ FURMANIAK

ŁÓDZKA PPR W ODBUDOWIE MIASTA

1.
18 stycznia 1945 r. została wyzwolona Łódź, a już 21 stycznia „pełnomocnik rządu upoważnił pracowników miejskich, obecnych w dn. 21.I. 1945 r. na posiedzeniu organizacyjnym do powołania Komitetu Obywatelskiego, do wyłonienia spośród swojego grona — Tymczasowego Zarządu Miejskiego i możliwie niezwłocznego rozpoczęcia działalności (protokół — Miejskiej Rady Narodowej nr 1 APL).

Wyłonione na tym posiedzeniu Prezydium Zarządu Miejskiego przystąpiło natychmiast do pracy, by wprowadzić ład i porządek, zabezpieczyć porządek przez okupantów, mienie, zorganizować możliwie normalne i względnie bezpieczne życie. Przewodniczącym Tymczasowego Zarządu Miejskiego — pierwszym prezydentem miasta — został mianowany 22 stycznia

Kazimierz Witaszewski. Na drugim posiedzeniu Tymczasowego Zarządu Miejskiego 23 stycznia uczestniczą już naczelnicy poszczególnych wydziałów, przedstawiając w swych sprawozdaniach początki funkcjonowania tego aparatu w Łodzi. Zorganizowanie w stosunkowo krótkim czasie aparatu władzy, jego funkcjonowanie, związane było z bezpośrednią działalnością PPR i jej szerokiego aktywu. Świadczą o tym pierwsze legalne zebranie członków PPR, KPP i KZMP odbyte 23 stycznia w pałacyku przy ul. Gdańskiej 32, na którym omówiono najważniejsze zadania łódzkiej organizacji PPR w zakresie tworzenia administracji Rad Narodowych, kwestie organizacji Komitetów Partyjnych oraz zadania związane z normalizacją życia w mieście. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że w tworzeniu pierwszych organów władzy i administra-

cji uczestniczyli nie tylko aktywiści delegowani przez KC PPR, lecz również aktywi lokalni.

Wśród pierwszych organizatorów Miejskiej Rady Narodowej i władz miejskich nie zabrakło również członków PPS i aktywu Związków Zawodowych. W skład MRN weszło z ramienia PPS — 20 członków i 12 przedstawicieli Zw. Zawodowych (protokół I posiedzenia MRN m. Łodzi). Działalność org. PPR nie ograniczała się zresztą tylko do poczynąń związanych z tworzeniem organów władzy i jej działalności. Dla prawidłowego funkcjonowania całego organizmu miejskiego potrzebne było wielu innych dodatkowych poczynąń. Trzeba było powołać i uruchomić szereg instytucji współdziałających i umacniających powstałą władzę. Powstanie ich było związane również, przy po-

ważnym udziale instancji i członków PPR. Dzięki spraw-

2.
Jeszcze poważniejszy wkład łódzkiej organizacji PPR moż-

Portret człowieka z tarczą... na ramieniu



Fot. A. Różycki

Jednym z najstarszych problemów każdej epoki jest układ stosunków między starym a młodym pokoleniem. Zwykle słyszy się przy różnych okazjach narzekania dorosłych na młodzież. Najczęstsze zarzuty wobec „dzisiejszej młodzieży” to: bezideowość, zmaterializowanie, bierność wobec rzeczywistości, lekceważenie dla autorytetu domu i szkoły.

Chcąc przekonać się, jakie są rzeczywiste ideale i cele życiowe uczniów XIII LO im. Marii Piotrowiczowej grupa zajęć fakultatywnych tej szkoły przeprowadziła, pod kierunkiem mgr Bogny Maurer, próbę zbadania postawy życiowej młodzieży. Rzeczą przewodzoną w formie ankiety, której poddano całą młodzież XIII LO. Uczniowie tego liceum wywodzą się w większości ze środowiska robotniczego, wiek 15—20 lat. Ponieważ wyniki ankiety okazały się dość interesujące, wydaje się więc, że warto je poznać. Oczywiście zaznaczamy, że wnioski dotyczą jednej szkoły i nie pretendujemy do jakichś szerszych uogólnień na temat całej młodzieży, niemniej są dość wymowne.

Pierwsze pytanie ankiety dotyczyło pojęcia samego ideału i celu życiowego. Odpowiedzi wykazały, że 50 proc. młodzieży nie potrafi wyabstrahować ideału jako zespołu wartości moralnych, utożsamia go z konkretną postacią lub z określoną potrzebą życiową.

Drugie pytanie brzmiało: Co wpłynęło na wybór tego ideału? Środki masowego przekazu, szkoła czy dom? I tutaj wyniki okazują się dość znamienne. Na czołowe czynniki decydujących o wyborze ideału (celu) życiowego wysunęły się: literatura, film, teatr i tv (51,1 proc.). Jest to przygniatające zwycięstwo sztuki i środków masowego przekazu nad życiem w sferze kształtowania osobowości

młodego człowieka. Odpowiedzi wykazały zdecydowany upadek autorytetu domu (27,6 proc.) i jeszcze większy upadek autorytetu szkoły (21,3 proc.). Nasuwa się niewesoła refleksja na temat oddziaływania wychowawczego współczesnego szkolnictwa.

Pytanie trzecie — co sądzisz o kierowaniu się w życiu zasadami? — miało na celu zbadanie świadomości etycznej ankietowanych i dało zastanawiające wyniki. Jedynie 10,5 proc. młodzieży, zaznaczając w wieku 15—20 lat, opowiedziało się za potrzebą wyznawania sztywnych zasad moralnych, to znaczy za postępowaniem zgodnie ze swymi zasadami. 41,5 proc. stwierdziło, że jeśli wierność zasadom miałaby przynieść złe skutki, warto przemyśleć swoje zasady i dostosować je do sytuacji. Aż 48 proc. hołduje zasadzie podporządkowania moralności doraźnym potrzebom życiowym, a ściślej, że nie warto mieć sztywnych zasad, tylko postępować tak, aby były pomyślne wyniki.

W pytaniu następnym chodziło o zbadanie realizmu młodzieży. Brzmiało ono: czy sądzisz, że osiągniesz swój cel życiowy? Większość (41,7 proc.) ankietowanych odpowiedziała: nie wiem, co dowodzi może braku przemyśleń w tej kwestii, względnie przekonania, że realizacja życiowego celu zależy od czynników, których przewidzieć nie są w stanie. 40 proc. młodzieży wyraziło przekonanie, że swego celu nie zrealizuje, a więc widocznie jego wybór nie był trafny. Niewielka część (13,5 proc.) patrzy w przyszłość optymistycznie. Zastanawiający jest znikomy procent odpowiedzi, zakładających częściową realizację celu życiowego (4,7 proc.). Jedynym wyjaśnieniem takiej postawy wydaje się założenie przez młodzież niepodzielności obranego ideału, a więc przekonanie, że można go osiągnąć tylko w całości lub wcale.

Co wobec tego uważają za główną przeszkodę w spełnieniu swego życiowego celu: a. słabą wolę, b. brak odpowiednich zdolności, c. brak środków materialnych, d. wpływ rodziny, e. wpływ szkoły, f. czynniki obiektywne np. zdrowie, g. wpływ kolegów, h. brak czasu.

Prawie połowa uczniów główną przeszkodę upatruje w słabej woli (49,6 proc.). Ten stan rzeczy daje podstawę do wniosku, że poważna część młodzieży nie wie-

rzy w efektywność pracy nad własnym charakterem, nie wierzy w możliwość przezwyciężenia samego siebie. Ich samokrytycyzm idzie tu w parze z biernością. Zjawisko dość symptomatyczne, ujawnia brak wiary w kształtowanie własnej osobowości. Aż 14,5 proc. uczniów podaje jako główną przeszkodę w realizacji swego ideału brak czasu, 9,3 proc. — brak zdrowia, 10,2 proc. — brak odpowiednich zdolności.

Czy ideał twój sprawił, że: a. zbliżyłeś się do kolegów, b. wyobcował się z otoczenia, c. powstał konflikt między tobą a rodziną, d. poprawiła się atmosfera w rodzinie, e. zacząłeś się lepiej uczyć, f. nie się nie zmieniło w twoim życiu, g. masz trudności w nauce.

W odpowiedzi na te pytania chodziło o zbadanie skuteczności wychowawczej przyjętego ideału. 38,5 proc. młodzieży dochodzi do wniosku, że jej ideały pozostały bez wpływu na własne życie. 22,7 proc. stwierdziło wręcz negatywną rolę ideału. Posiadanie ideału pozwoliło się zbliżyć do kolegów — 18,8 proc., wyobcować z otoczenia — 8,5 proc.

Co chciałbyś w życiu osiągnąć: a. wysokie stanowisko służbowe, b. dobrobyt, c. władzę polityczną, d. życie bez trosk i pełne radości, e. sukces w życiu osobistym, f. sławę, g. uznanie środowiska, h. sukces na polu nauki, i. zadowolenie z siebie.

Okazuje się, że najmniej popularna jest wśród młodzieży chęć sławy (1,2 proc.) i władzy (2,9 proc.), większość preferuje sukces w życiu osobistym, uznanie środowiska, sukces na polu nauki, (oczywiście w rozumieniu uczniowskim są to dobre stopnie) oraz zadowolenie z siebie. Odpowiedzi te świadczą o minimalnej ekspansywności młodzieży. Dowodzą również, że młodzi szukają satysfakcji w życiu osobistym, mniej zaś w życiu społecznym i politycznym. Zastanawia tak mały procent kandydatów na ludzi sławnych. Skąd wobec tego tak dużo kandydatów do szkół artystycznych gdzie sława jest przecież jednym z najważniejszych motorów działania. Uderza również niski procent młodzieży pragnącej nade wszystko dobrobytu (5,6 proc.). Świadczyłoby to, że młodzież nie przywiązuje tak dużej wagi do dóbr materialnych, jak sądzą dorośli.

Co zdecydowało o wyborze celu życiowego? 58,2 proc. odpowiedziało, że

realne możliwości, 31,6 proc., że marzenia, a 10,2 proc., że konieczność życiowa.

Co jest powodem twoj przynależności do organizacji młodzieżowej? Tutaj większość podała jako główny motyw potrzebę wewnętrzną, mniejszość — wpływ zewnętrzny. Z chęci działania wstępuje do organizacji 34 proc. uczniów, dla pogłębienia zainteresowań — 34,8 proc., ze względów towarzyskich — 7,2 proc. Dodatkowe punkty na studia wymieniło 13,8 proc., wpływ kolegów lub rodziców podało 10,2 proc.

Wyniki ankiety pozwalają na podjęcie próby stworzenia sylwetki przeciętnego ucznia (uczennicy) szkoły licealnej w dużym mieście przemysłowym.

Ma lat 15—20, jego postawa życiowa jest wypadkową oddziaływania kultury masowej i domu rodzinnego, w mniejszym stopniu szkoły. Posiada określone ideały, a najczęściej rozumiane jako cel życiowy. Mimo znacznego realizmu przy podejmowaniu programu życiowego powątpiewa w jego osiągnięcie, przyczynę przewidywanego niepowodzenia upatrując we własnych brakach charakterologicznych oraz doświadczeniu, z którego wynika, że posiadane ideały i cele życiowe pozostały bez wpływu na dotychczasowe życie.

Działanie swoje podporządkowuje raczej względem utylitarnym niż moralnym, skłonny jest zrezygnować z przyjętych zasad dla doraźnych korzyści. Nie odznacza się przesadną ekspansywnością, nie marzy o oszołamiącej karierze, natomiast dużą wagę przykładą do powodzenia w życiu osobistym na bazie pewnego dobrobytu i uznania środowiska.

Pracuje w organizacji młodzieżowej, w kole zainteresowań, w klubie, w szkole i poza nią, i czyni to raczej z wewnętrznej potrzeby działania, niż dla zapewnienia jakichś preferencji. W sumie jest to chyba osobnik przeciętny, dosyć realnie patrzący na świat i oceniający swe możliwości, łatwo przystosowujący się do wymogów sytuacji, rozumiejący konieczność pracy i płynące z niej korzyści.

Wydaje się, że ta sylwetka ucznia, aczkolwiek trudno uważać ją za wzór aktywności i altruizmu, nie potwierdza obiegowego wizerunku młodego człowieka jako istoty zmaterializowanej, bierniej w stosunku do rzeczywistości, permanentnie i programowo skłóconej z domem rodzinnym i szkołą.

na odnotować w zakresie zabezpieczenia i uruchomienia przemysłu. Już w okresie okupacji mimo terroru i represji okupanta łódzka org. PPR skupiając swą działalność w fabrykach zdołała zaszczerpić wśród robotników świadomość oraz działanie na rzecz przejścia podstawowych środków produkcji. Przykładem może być działalność komórek PPR w zakładach metalowych J. Johna, która jeszcze w dniach okupacji sprzecywała dla aktywów zadania związane z zabezpieczeniem budynków i urządzeń oraz ich przejęcia przez robotników do wyzwolenia (Arch. KL — akta Wydz. Org. PPR). Dlatego m. in. — chociaż nie tylko z tego powodu — członkowie partii, robotnicy, bezpartyjni stanęli w obronie fabryk, surowców i gotowej produkcji przed radziecką. W fabryce Poznańskiego — jak pisze J. Golebiowski „członkowie PPR podjęli działalność

na rzecz zabezpieczenia fabrycznego mienia natychmiast po ucieczce Niemców z miasta, a jeszcze przed wkroczeniem wojsk radzieckich”. Przykład członków PPR udzielił się szerokim masom robotniczym, którzy stanęli w obronie mienia społecznego.

Właściwa postawa klasy robotniczej, potęgowana działalnością aktywów partyjnych i związkowych, ujawniła się nie w mniejszym stopniu przy uruchamianiu produkcji. Były to zadania nie łatwe jeżeli się uwzględni ówczesną sytuację — brak kadry inżyniersko-technicznej, brak surowców i materiałów pomocniczych. Ofiarność i świadomość robotników były jednak jednoznaczne. Stawali oni przy warsztatach, obejmowali kierownictwo nad całością społecznego i państwowego majątku, pracowali nie licząc godzin pracy, aby tylko jak najszybciej dać gotową produkcję.

Dać ją dla frontu, dla niedożywionej ludności kraju. Inspiratorem i organizatorem tych ważnych, a jednocześnie niełatwych zadań była PPR. Zalecała ona organizacjom partyjnym konkretny wkład w potrzeby poszczególnych przedsiębiorstw i organizacji przemysłowych. Wskazywała na konieczność ześrodkowania uwagi mas robotniczych wokół konkretnych zadań i prawidłowego kierownictwa w uruchamianiu fabryk. W efekcie wspólnego trudu — ofiarności klasy robotniczej i organizatorskiej pracy PPR — zebrano rezultaty. W początkach lutego 1945 r. przemysł włókienniczy Łodzi dał pierwszą produkcję dla kraju. Kolejne zadanie zostało wykonane. Do pilnej realizacji stanęły następne. Na czołowe miejsce wysunęła się sprawa warunków bytowych — trzeba było zabezpieczyć ludność miasta w chleb, opał, dać pracę.

3.

Od 19 stycznia poczęły nadciągać wszystkimi drogami liczne grupy ludzi z Generalnej Guberni. Za nimi w niedługim czasie zaczęli wracać łodzianie z obozów. Dla wszystkich, dla tysięcy mieszkańców zniszczonej Warszawy, którzy przedświem zatrzymali się w Łodzi, trzeba było dać niezbędną ilość chleba, węgla i pracy. Sytuacja była trudna. Tej ciężkiej sytuacji przeciwstawiła się PPR, mobilizując swych członków i szerokie masy bezpartyjne do konkretnego działania. Początkiem szerokiego programu był problem sprawiedliwego rozdziału stu ton maki do piekarni przekazanych przez wojsko. Następnie zorganizowanie pracy młynów, przysłanie do akcji przydziału mieszkań itp. W celu poprawy sytuacji w transporcie, który decydował o powodzeniu całej akcji aprowizacyjnej,

zwrócono się o pomoc do Dowództwa I Frontu Białoruskiego, otrzymując po kilku dniach do dyspozycji 1.000 samochodów.

Poczynania te oraz pomoc kierownictwa centralnego pozwoliły poprawić w pewnym stopniu tę ciężką sytuację.

Kolejne problemy, które zostały podjęte w programie poprawy warunków bytowych klasy robotniczej to: akcja przekwaterowań robotników z wilgotnych suterren, organizacja przyfabrycznych Spółdzielni Spożywców i Spółdzielni Pracy. 19 lutego na łódzkowojewódzkiej konferencji PPR, łódzka instancja dodatkowo podjęła w swojej rezolucji takie problemy, jak: „pobudzenie inicjatywy rzemieślników i chałupników do szerokiego zaspokajania wielu codzien-

nych potrzeb pracujących” oraz załatwienie „spraw społecznych robotników w ramach umów zbiorowych”. Umowy te zobowiązywały administrację zakładów pracy z dniem 1 kwietnia do: urządzania stołówek i wydawania obiadów, organizację punktów sanitarnych, klubów sportowych i świetlic. Przystąpienie w zakładach pracy do planowych poczynąń w zakresie higieny pracy, bezpieczeństwa i organizacji wypoczynku. Nie oznacza to wcale, że podane wyżej, niektóre tylko przykłady działalności łódzkiej organizacji PPR, rozwiązały do końca problemy warunków bytowych łódzkiej klasy robotniczej. Dla ich rozwiązania potrzebna była wielu lat. Nie wszystkie sprawy zdołano załatwić, wiele z nich podejmują partia aktualnie, przykładem czego są uchwały VI Zjazdu PZPR.

KAZIMIERZ FURMANIAK

Z cyklu: MAŁE PROZY

Całowali się idąc

Tańczyli na sierpniowej murawie pod rozłożystą gruszą, przez której gałęzie przenikało światło księżyca, w pierwszym dniu swej znajomości poprzez onieśmienie oddani sobie, ufnie w przyszłość co zaczęli swój lot gdy ucieknie orkiestra i furtką poczną opuszczać plac zabawy pary tu połączone muzyką i w jej ucichłym rytmie roztańczone wewnętrznie.

Odprowadzał ją, dziewczynę z małej wsi, jedyną z tej wsi pannę co chodzą na zabawy, i wiodł ją, już po północy, piaszczystym gościńcem do tej wsi przykucniętej pod lasem dębowym; lękał się tylko, że ktoś obcy zająć mu może drogę i przepłoszyć, a wtedy, kto wie, czy nie wypadłoby zostawić dziewczynę w polu.

Minęli góry żwirowe i ścieżka przyleśną dochodziła do wsi, całowali się idąc.

Wiesi spała. I on ją do snu chciał ułożyć na poszyciu leśnym, ale ona broniła się chociaż już przysiedli na zboczu lasu, przyciskał ją pocałunkami, odbierała je szeroko rozwartymi wargami. — Nie — powtarzała nabierając powietrza, i znów szukała jego ust z pewną obawą przed sobą, której wierzyła przecież. Jemu nie dowierzała, więc poderwała się z ziemi i stanęła przy drzewie, on podniósł się i doszedł do niej. Znów całowali się długo. — Więc nie — potwierdził jej milczenie, i podał jej dłoń jakby na pożegnanie, ale tylko po to, by ją podprowadzić do drogi, przy której stały domy. W jednym z nich mieszkała ona, dokładnie nie pytał w którym, gdyż przeczuwał, że nigdy do niej nie przyjdzie. Zegnając się chciał umówić się z nią, na spotkanie we wtorek, przy źródle, niedaleko plantacji topoli, lecz nie zgodziła się na tę propozycję.

— Wiesz gdzie mieszkam — odparła.

Wracając do chaty i było mu trochę głupio, złościł się na siebie, że dał się wyciągnąć dziewczynie w tak daleką piaszczystą drogę.



JURIJ BRÉZAN

Rodakowi pod rozwagę

Pięknym latem kiedy, choć godzinę tylko, do klina ręce przyłożył i myśli pokieruj wstecz po latach i dniach. Wspomnij te czasy, te przeszłe, te smutne, niespokojne i krwawe, czasy Mary*) i mgieł, lez i jęków, i kłamstwa!

Nie ma wszak potrzeby odgrzebywać wieków pokrytych mchem przeszłości czasów, których bat krew z ciebie wyciskał. Pozwól myślom paść się na drogach i ścieżkach swego bytu, dni swego życia oświetlać, rozważ w spokoju.

Małec sam wyrósł na wsi do przedniego postrzegania świata, do rzeki Wódny podciągnął go ojciec, utopić chciał; w górze skorup zabawki szukał, zataczał się w drzewniakach w śniegu — rzadko kto miał czas, by bajki i baśnie mu bająć.

Zaś ty kupujesz swym dzieciom bućki, i piastunkę posłał rząd do wsi, by strach o dzieci nie truł serc matek, by dzieci miały zabawkę w ręku i uczoną główkę, która im w baśniach i grach odemknie oczy na świat.

Do szkoły siedleś i latami skrobałeś z pismakiem tablicę; uczyli cię tego tylko, ażebyś rękoma im służył.

Często rzucałeś też szkołę i na dniówkę siedleś; wyćwiczyłeś się z czasem, by pokornym być sługą.

Nie dasz wiary, iż od synka się uczysz, rzekli ci niektórzy — że wszystek bogaty świat bogaty za tobą jedynie. Nigdy nad morzem — i w górach nigdy — nie dla ciebie były — córeczka z wakacji zaś pisze ci radosne listy.

Skończywszy szkołę, na służbę wędrowałeś, gospodarzu stajni: Piętnaście godzin co dzień — piętnaście marek za miesiąc. Studiować będzie — medycynę może — najstarszy twój syn; mądrzejszy od ciebie nie jest, ale darmo do szkoły chodzi.

Twoja kiepska niemieczyna rodziła drwiny po urzędach: każdy nos sobie wytarł na twoim kabacie rajcy.

Nowe urzędy pomagają nam utrzymać i rozwijać mowę, wszak i głowa państwa po łażyczku pozdrowi Łużyczan,

Chciwi cudzego dobra bogacze pędzili cię batem na wojnę: z twojej krwi i lez zbijali złoto dla siebie.

Przysięgę przyjaźni śpiewa młodzież świata, silna — pokona złoto i śmierć — otworzy bramy ziemskiego raj.

Wołami orałeś, bronowałeś i kosą kosiłeś żyto — dręczyłeś siebie i bydło, zboża zaś niewiele zżaleś.

Twoje zagony wzrosły do zagonów chłopskiego bractwa, orze i żnie ci olbrzym — obfity zbierasz plon!

Wszystko to zbierz, to stare — to nowe i wszystko zsumuj; zacnie i rzetelnie to zważ — spójrz, co waga ci powie!

Powie ci ona, iż życie żyjących godziwsze bywa; słońce mgłę rozpędziło, dzieci śpiewają szczęśliwie.

Rozważ to i wspomnij ten dzień, który był czasem wstrząsu; wspomnij ten czas — i tych — co nim wstrząsnęli!

Rozważ to i uznawaj jawnie — bądź zacnym człowiekiem! Plewiliśmy osty i perz — obfite zbieramy żniwo.

Ze zbioru „Nas wsedny dzień”.
Z górnołużyckiego przełożył:
JOZEF J. FRASZCZYŃSKI.

*) — Mara — bogini śmierci.



GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

Do Poety

Bo zanim w sen się udasz — już mówią o ciszy.
Zanim w lament uderzysz — już mówią o śmierci.
Bo wszędzie Cię wysłędzą niewinni mordercy
I jak pierścień nasuną na swych palców zwoje.

Bo nim radość wytropisz — powiedzą Ci — głucho.
Nim słowo powiesz — znak dadzą — milczenie.
Nim zamielesz — domyślą — On dzwoni łańcuchem.
Nim odejdziesz — określą — Jego tu nie było.

JERZY WILMAŃSKI

Glosa dla przyjaciół

ANDRZEJOWI GRUNOWI I ANDRZEJOWI HAMFLOWI

Bieg aż do świtu do granic ulewy
przeżalście dzwoniącej w parapety łeków

Okrutne zabawy grane przeciw sobie
wylute razem z żółcią za progiem poranka

Jaki wyrok nam czyta nasze przerażenie?

A może to inicjacja w światy niepojęte
może sens może bezsens a może przegrana
jak makatka z paciorków z małych kłesk utkana

Zbyt małych
na heroizm okrutny tych porannych łeków

Może to wszystko zgrywa w scenografii strachu
co nie uwzniosła wcale a tylko upadła
i u kresu alejki kopiec wilgotnego piachu
ktoś nas poklepie zimną blachą szpadla

A pozostaną tylko przyjacieli drogi
proporceyki błazeńskie lata niepojęte
nieodciśnięte ślady na marcowym śniegu
i to wszystko czegośmy nie chwycili w biegu.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Kompozycja znad Adriatyku

Tysiącleci trudem, tak opornie
przez morze porwana z ładu
— wyspa, błękitu biały zwornik.

TAM

pinie pną się ku słońcu
tak jaskrawym i słonym,
że pęka orzech głowy.

TU

szarą lupinę wyrzuca język morza
na skały bielą wywrócone —

Jeżeli wieczność — krzyknąłem —
to w tym lazuru kolorze.

Tyle mówiąc tak milczy to morze
— modre, mądre...

Istria, lipiec 1969

FINAL TRAGICZNY

Twórczość Rafała Wojaczki prezentuje nowe odrębne tendencje w stosunku do pokolenia lat 60-tych. Znamienne dla niej jest przesunięcie punktu ciężkości z abstrakcji na konkret, z ponadczasowych wiecznych problemów na problematykę spraw obyczajowych i społecznych.

Drugi tomik poety „Inna bajka” mimo iż bardziej dojrzały i wykrystalizowany w formie od „Sezonu” niesie ze sobą te same lęki i obsesje. I tu, jak poprzednio pojawia się element cielesności wracający nieczym natrętny motyw w najbardziej nieodpowiednich momentach. Podmiot liryczny jeszcze raz wskazuje nam jak ogromny wpływ na nasze życie wewnętrzne, duchowe mają zjawiska fizjologiczne. Drugim elementem łączącym oba tomiki są następujące w nich słowa — klucze, wtajemniczające czytelnika w te rejony psychiki autora, które dyktowały mu użycie takich a nie innych obrazów poetyckich. Tymi słowami, po których zawsze będziemy rozpoznawali utwory Wojaczki są: krew, śmierć i sen. W tomiku „Inna bajka” najbardziej eksponowane są dwa pierwsze, jednemu z nich, krwi, poświęcony został nawet cały wiersz „Ballada o prawdziwej krwi”. Wszystkie te słowa wprowadzają atmosferę niepewności, grozy i przeczące rychłego końca.

Katastrofizm wiążący dwa cykle poetyckie: „Genetyczne” i „Mechaniczne”, które składają się na całość zbioru, ma swoje źródło w wyobcowaniu jednostki, nie przystosowaniu się do panującej ideologii, konwencji i mody. Charakterystyczne dla autora jest przesunięcie się z pola katastrofizmu wynikającego z osobistego nieprzystosowania w kierunku totalnej zagłady. W tę przyszłościową zagładę wplatają się reminiscencje z czasów ostatniej wojny: „Biedne niebo, zaludnione ubogimi obłokami — innymi nami. — było apelowym placem” („Genealogia bohaterów”), „Lecz z urodzenia, z funkcji zwany był Placowym” („Genealogia bohaterów”). Reminiscencje te są tylko jednym aspektem wrażliwości wyobraźniowej Wojaczki. Jest ona inspirowana również przez tradycję polską dawniejszą. Nawiązuje do wzorów wielkiej poezji romantycznej i patriotycznej. Obok takich konstrukcji jest jednakże poeta piewą obszarów ubocznych, peryferyjnych, które ze względu na swą drastyczność są pomijane. Częstość przez zdawałoby się podniosłą wizję prze-

bija opis aktu seksualnego. Tę dwutorowość obserwujemy również w warstwie stylistycznej utworu. Obok metafor i obrazów poetyckich wyszukanych spotykamy metafory i zdania niekkształtne, zbudowane na zasadzie dysonansu, obok konstrukcji symbolicznych, zmysłowe, dosłowne i realistyczne opisy zjawisk i rzeczy.

Warstwa językowo-stylistyczna jest odbiciem zdeintegrowanej osobowości autora. Dążność w kierunku osiągnięcia zwartych konstrukcji, zrealizowana poprzez zastosowanie elipsy, łączy się z tendencją do powtarzania wyrażań, monotonnego wyliczania. Właściwością tej poezji jest maksymalne spiętrzenie obrazów poetyckich, jak gdyby gwałtownie narzucających się poecie i nie pozwalających mu na wybór. Niekiedy służą one konsekwentnemu rozwijaniu jednej wizji, w innych wypadkach nie możemy dopatrzyć się motywacji łączącej oba obrazy. Przykładem jest wiersz „Piosenka bohaterów V”, w którym pierwsza strofa jest obrazem żołnierzy posyłających ze wzgórz wici, druga opisem ciała kobiety. Z takich niekonsekwencji w budowie obrazów wyciągamy wnioski o opozycji istniejącej w świadomości poety: wyobrażenia psychicznych otchłani i cielesnego wyobcowania dąży do kształtów wyraźnych i jasnych. Znamionnym momentem w poetyce R. Wojaczki jest budowa metafor, w której jeden z członów to prawie zawsze nazwa którejś z części ciała, lub nazwa funkcji danego narządu: „kłosy krzyków”, „gleba gardel” („Finis Poloniae”), „plecy nieba” („Genealogia bohaterów”), „wzgórze krwi”, „pięć pulsów” („Wzgórze albo bohater narodowy”).

W dojrzałym i świetnie zapowiadającym się twórczość poety raz po raz wkrada się jak gdyby sygnał ostrzeżenia dla siebie i dla nas. Takim sygnałem jest ostatni wiersz tomiku, „Zapis z podziemia”. W postaci elipsy, krótkich formuł ukazuje w nim Wojacek piękno tego świata, które podsumowuje wersem tragicznym: „Nie dla mnie”. Sam tytuł wskazuje również na to, że w poecie dojrzał zamyślenie całkowitego buntu przeciw życiu. I rzeczywiście, był to wiersz ostatni w tomie ostatnim.

Rafał Wojacek: **INNA BAJKA**. Wiersze ulotne. Ossolineum 1970, ss 49.

W październiku 1918 r. Rada Miejska w Łodzi zobowiązała Magistrat do rozważenia wniosków w sprawie „wprowadzenia w m. Łodzi przymusu szkolnego”. Dążenie do powszechności oświaty było niewątpliwą reakcją na czasy rozbiorów, kiedy to panowały tendencje rusyfikacyjne i germanizacyjne, a także było niewątpliwym skutkiem panujących wówczas powszechnie idei rewolucyjnych. W następnych latach — już w niepodległej Polsce — czyni się wysiłki, aby ów „przymus szkolny” ugruntować, ale — jak pisał Jerzy Chabełski — nie było na to odpowiednich warunków. Z jednej strony — państwo borykające się z powojennymi kłopotami porzoborowej Polski nie miało możliwości aby realizować to hasło, a z drugiej — nie byli tym zainteresowani również sami mieszkańcy Łodzi, o czym najlepiej świadczy przytoczone przez autora dane o karach, jakie stosowano w 1919, 1920 i 1921 roku wobec opornych rodziców, którzy musieli swoje dzieci posyłać nie do szkoły, a do pracy.

Prześledzenie losów postulatów powszechności nauczania w latach Polski międzywojennej, w programach i hasłach różnych stronnictw politycznych okresu okupacji i walki zbrojnej z najeźdźcą, a następnie w okresie odrodzenia Polski wymagało ze strony autora znacznego nakładu pracy. W jego wyniku powstała interesująca książka, która zarówno w merytorycznym opracowaniu, jak i niezwykle bogatym wyborze dokumentów, zawiera wiele cennych spostrzeżeń i informacji. Jerzy Chabełski dotarł do akt archiwalnych okresu międzywojennego, sięgnął po dokumenty obrazujące hitlerowską politykę wobec narodu polskiego, a następnie dokonał konfrontacji postulatów oświatowych różnych partii i stronnictw politycznych. Dzięki temu mógł ukazać pełny obraz przeszkód i zakrętów historycznych w dążeniu do powszechności oświaty.

W Łodzi „przymus nauczania” skasowano w 1925 roku, co było tylko przyznaniem się do faktycznego stanu rzeczy — „przymus” był już wówczas właściwie tylko ideą. Nie zmieniła tego również w niczym późniejsza „Ustawa o ustroju szkolnictwa” z marca 1932 roku. W Łodzi — pisał J. Chabełski — mieszkało w 1936 roku 81.357 półanalfabetów i analfabetów. Analfabetyzm zwiększył się jeszcze bardziej w okresie okupacji, kiedy to według zaleceń Heinricha Himmlera

ra celem nauczania dzieci ludności nie niemieckiej miało być „proste liczenie, najwyżej do 500, podpisywanie nazwiska, nauka, że nakazem bożym jest posłuszeństwo wobec Niemiec...”

Tendencji hitlerowskiego wyniszczania narodu polskiego przeciwstawiali się patrioci polscy. Organizowano tajne nauczanie, a jego rozwój w Łodzi dość obszernie przedstawiono w omawianej książce. W tym miejscu chciałabym przytoczyć słowa uznania, jakie hitlerowcy wyrazili pod adresem polskich nauczycieli w jednym z publikowanych przez autora dokumentów.

„...celowym byłoby powie-

wań prawicy społecznej”.

Historia Polski Ludowej dowiodła, że racja leżała po stronie komunistów, którzy jedyni w ówczesnych warunkach mogli wystąpić z programem, biorącym pod uwagę najbardziej żywotne interesy narodu. Inne stronnictwa polityczne zajęte były przede wszystkim walką o władzę w przysiężnej niepodległej Polsce. PPR świadoma spuścizny, jaka pozostała po Polsce burżuazyjnej i jej systemie oświaty, wystąpiła z programem „umożliwienia młodzieży nieograniczonego dostępu do oświaty”, zdając sobie sprawę, że przyszłość kraju, w którym miała rządzić klasa robotnicza i pracująca

BOGDA MADEJ

SPEŁNIONE ZAMIERZENIA

zenie funkcji nauczycieli w szkołach wysłużonym polskim policjantom. Zbędne stałoby się wówczas tworzenie zakładów kształcenia nauczycieli. Polskie nauczycielki należy natychmiast i w każdym wypadku wykluczyć od nauczania, ponieważ posiadają one o wiele większy wpływ niż nauczyciele na polityczne wychowanie dziecka”.

To właśnie nauczycielki, odsunięte od resztek szkoły, jaką pozostawiono Polakom, podjęły trud tajnego nauczania. Wśród organizatorów tajnego nauczania byli również komuniści, a następnie PPR. Partia, a także Związek Walki Młodych wiele miejsca i uwagi w swoich dokumentach poświęcały przyszłej organizacji systemu oświaty. Inaczej niż pozostałe stronnictwa, szczególnie te ugrupowane na prawo od komunistów.

„Śledząc uważnie — pisał J. Chabełski we wstępie — to, co poszczególne partie i ugrupowania polityczne propagowały w okresie okupacji w zakresie zmian oświatowo-wychowawczych, dostrzegamy inercję i wręcz niechęć do reformowania oświaty ze strony ugrupo-

chopstwo, zależy od poziomu wykształcenia i świadomości wszystkich jej obywateli.

Jerzy Chabełski kończy swoją książkę na roku 1946, kiedy to polskie nauczycielstwo przystąpiło do likwidacji oświatowych skutków wojny i okupacji. W roku 1945 — jak stwierdza — w Łodzi co czwarte dziecko w wieku szkolnym było półanalfabetą lub analfabetą. I PPR postulując w najtrudniejszych czasach dla polskiego narodu powszechność oświaty, po odzyskaniu niepodległości przez Polskę przystąpiła do realizacji tego postulatów, do realizacji zamierzeń, głoszonych już w 1918 roku. Siegając dziś — w okresie, kiedy w Łodzi realizuje się powszechność nauczania w zakresie szkoły średniej — po książkę Jerzego Chabełskiego możemy przekonać się o historycznej słuszności społecznych haseł PPR, poprzedniczki PZPR.

*) Jerzy Chabełski „PPR organizatorem powszechności nauczania, studium porównawcze, Łódź 1919—1946”. Wydawnictwo Łódzkie 1973, str. 203, cena zł 20.—



Przeszłość i teraźniejszość

Problematyka polskiej świadomości historycznej czasów najnowszych coraz energiczniej wkracza na warsztat współczesnego historyka. Zjawisko to ma swoje głębokie uzasadnienie, skoro jak niejednokrotnie zauważano „wyróżniamy się od innych narodów szczególnie „wrażliwością historyczną” i stanowią — jak pisała Danuta Ząbicka — „fenomen wśród wielu społeczeństw, fenomen ze względu na stosunek do przeszłości narodowej, który okazuje się integralną częścią potocznego światopoglądu, ze względu na zasięg społecznego „zawłaszczania” historycznych wydarzeń i ze względu na specyfikę funkcjonowania tej świadomości”. Na taki stan rzeczy złożyły się zawiłe koleje naszej przeszłości, w szczególności w XIX stuleciu. Naukowcy, historycy badanie zagadnień świadomości historycznej Polaków wy- maga od historyka szczególnej kwalifikacji, przede wszystkim zaś przełamania zakorzenionej i zastarzałego, by nie rzec prze-

starzałego obyczaju interesowania się przede wszystkim wydarzeniową stroną dziejów i pozostawiania na uboczu całej sfery mentalności społecznej. W tym miejscu historyk spotyka się więc z socjologiem i psychologiem społecznym, a w naukowym badaniu zaciągają się tradycyjne bariery między dyscyplinami, z których każda musi sięgać do propozycji i doświadczeń swojego sąsiada.

Dziejopisarstwo nasze nie ma, jak dotąd, zbyt wielkich osiągnięć w zgłębianiu zmiennych kolei polskiej świadomości historycznej w dobie najnowszej, tym więc bardziej godne uwagi są te nieliczne prace, które doczekały się już realizacji. W zeszłym roku czytaliśmy na łamach „Śląskiego Kwartalnika Historycznego — Sobótka” (Nr 1, 1971) pionierski artykuł Mariana Orzechowskiego „Rola historii i historyka w procesach integracyjnych na ziemiach zachodnich i północnych”, poświęcony społecznej roli historiografii w okresie powojennym. Dzisiaj

ten sam uczynek dał nam do rąk sporą rozprawę. „Przeszłość i tradycje narodowe w myśli politycznej Polskiej Partii Robotniczej (1942—1948)”, zamieszczoną w ogłoszonej pod jego redakcją zbiorowej pracy sześciu autorów pt.: „Polska — Narod — Państwo. Z badań nad myślą polityczną Polskiej Partii Robotniczej 1942—1948” (Ossolineum 1972). Również i to studium posiada pionierski charakter. Jest bowiem pierwszą w naszym naukowym piśmiennictwie

przyszłość, a refleksja historyczna jest tu ściśle powiązana z przewidywaniem przyszłości. Tak samo dla PPR — jak powiada M. Orzechowski — „historia i doświadczenia przeszłości wspierały analizę problemów współczesności, pomagały określać jej tendencje rozwojowe, teraźniejszość zaś inspirowała spojrzenie na przeszłość i jej ocenę”. Wizja przeszłości narodowej, jaką można zrekonstruować z dokumentów PPR, prasy, relacji i in-

stosunkiem superkrytycznym, graniczącym niekiedy z sektarstwem i nihilizmem...”

Kształtowanie własnego, nowego poglądu na przeszłość Polski i Polaków było jednocześnie określonym wyborem tradycji, ale przecież nie jej dekretem. Stosunek PPR do tradycji i przeszłości narodowej — pisał M. Orzechowski — „pełen szacunku wobec tego, co wielkie, twórcze i pobudzające do czynu, i bezlitosnej krytyki wobec tego, co złe i wsteczne — wyrażał się w dialektycznej formule: ogląd, negacja — akceptacja, kontynuacja. Dokonując wyboru tradycji, tworząc kanon tradycji godnych kulturowania, stanowiących część systemu edukacji narodowej, dziedzictwo przeszłości traktowała jeszcze PPR jako sumę dwóch nieprzystawalnych części, jako „dwie tradycje” odpowiadające istnieniu wewnątrz wspólnoty narodowej „dwóch narodów”, które dzieli wszystko, a łączy tylko język i wspólne terytorium”. Ten ostatni, ostro dychotomiczny pogląd na dzieje, miał swoje uwarunkowanie jako odpowiedź na rozwijane przez obce nury ideowo-polityczne koncepcje

solidarystyczne, był jednak — jak słusznie podkreśla M. Orzechowski — znacznie uproszczony. Jak wiadomo został on później przezwyciężony w polskiej marksistowskiej refleksji historycznej.

Rozprawa M. Orzechowskiego stanowi pierwszą poważną wycieczkę historyka w dziedzinę tyleż ważną, co niezbadaną. Jest ona sondą, więc nie na miejscu byłoby zwracanie uwagi na to, że można znaleźć — choćby w „Poradniku Oświatowym”, „Walec Młodych” i innych pismach z czasów okupacji — nowe, warte wykorzystania materiały. Na to przyjdzie przecież czas. Nie mogą jednak nie wytknąć dobitnego błędu, który znalazł się nie w dziedzinie, ale w miejscu, gdzie autor mówi o stosunku do tradycji 3 maja. Podrzucałmyś niedługo, że PWN przepuścił w swej encyklopedii... mylną datę urodzin Tadeusza Kościuszki; teraz „Ossolineum” daje świadectwo, że jego korekta nie pamięta daty Konstytucji 3 Maja.

JÓZEF GRZELAK

ROMAN ŁOBODA

Hamlet doskonali?

JAK DOTYCHCZAS, NIE MA „HAMLETA” DOSKONAŁEGO. MOŻE BYĆ NAJTRAFNIEJSZA AKTUALNA INTERPRETACJA „HAMLETA” ZARÓWNO POD WZGLĘDEM JEGO PRZEKŁADU Z JEZYKA NA JEZYK, JAK I PRZEKŁADU Z JEZYKA NA SCENĘ.

Nie zapominajmy, że Szekspir był nie tylko dramaturgiem, był również i może w nie mniejszym stopniu, poetą. Utwory Szekspera nie są jedynie wierszowanymi dramata — mają naturę poezji. Ten fakt uwiadamia się najdobitniej i najgłębiej, bodajże, w „Hamlecie”. Stąd też odczytywanie jego wielowarstwowej struktury jest odczytywaniem najważniejszych dla danej epoki zagadnień. Więcej nie mieści się na scenie, bowiem całe bogactwo znaczeń czy wieloznaczności poezji we wszystkich jej warstwach jest nieprzekładalne na scenę.

Scena stwarza możliwości bardzo sugestywnych interpretacji utworów scenicznych. Dotyczy to również, a może i w większej mierze dramatów poetyckich. Ale scena także ogranicza utwór, chce mu nadać możliwie czytelną konstrukcję. Czytelność i sugestywność utworu o złożonej strukturze jest tym większa, im więcej znaczeń bliskich współczesnym widzom uda się przenieść z utworu oryginalnego do przekładu i z przekładu do inscenizacji. Mówiąc o znaczeniach nie myślę tylko o akcentowaniu logicznych elementów utworu, myślę również o jego walorze estetycznym, melodii i rytmie. „Hamlet”, wielogodzinny utwór, stwarza wiele możliwości wyboru. Świadczy o tym zarówno przekłady od Bogusławskiego, poprzez Koźmiana, Paszkowskiego, Gałczyńskiego, Iwaszkiewicza i wielu innych, do Brandstaettera i Sity, włącznie. Świadczy o tym również różne interpretacje sceniczne, chociażby w tak krótkim czasie, bo w ostatnich dwunastu latach dokonane.

Po „Hamlecie” w Łodzi w reżyserii Janusza Warmińskiego z Michałem Pawlickim w roli tytułowej, najtrwalej pozostają w pamięci interpretacje: Holoubka, Hanuszkiewicza i Grudy w Szczecinie.

„Hamlet” JANA MACIEJOWSKIEGO, oparty na przekładzie Jerzego S. Sity, najwyżej mnie poruszył, a także pobudził do refleksji, chociaż „Hamlet” Holoubka był od łódzkiego „Hamleta” (i innych) bardziej intelektualny.

I gdzie tu leży sedno sprawy, klucz do percepcji. Ciśnienie współczesności, jej problemów, nastrojów, obyczajowości, systemu zachowań i reakcji, to ciśnienie wywarło decydujący wpływ na wybór interpretacji u Maciejowskiego; widzę podlegający tym samym ciśnieniu, w miarę wyrobiony i wrażliwy, musi zareagować. Genialność Szekspera ujawnia się między innymi i w tym, że tak wiele z jego epoki można przenieść do naszych czasów. Nie dbając o czystość konwencji, autor „Hamleta” przenosi także w nasze pokolenia prawdy dla dawnych pokoleń aktualne. Ta „ponadczasowość”, to po prostu głęboka znajomość spraw ludzkich, wyrażona uniwersalnym kształtem artystycznym, którego żaden z interpretatorów zniekształcić nie może i nie śmie. Można tylko wątpić, co wybrać z utworu dla lepszego zrozumienia siebie i swoich czasów.

Tak też i robi Jan Maciejowski, dyrektor Teatru im. Jaracza, inscenizator „Hamleta”, granego obecnie na Dużej Sali.

Oceniając pion dwunastego „Festiwali Teatrów Polski Północnej” w „Odgłosach” w roku 1970, pisałem m. in. o „Hamlecie” Jana Maciejowskiego: W 1970 „Hamlet” w reżyserii Jana Maciejowskiego i interesującej scenografii Zofii Wierchowicz, dał Toruniowi główną nagrodę zespołową i trzy indywidualne wyróżnienia. Zarówno jurorom jak i publiczności podobał się spektakl potraktowany prawie reisytycznie, eksponujący intrygi królewską bez podtekstów filozoficznych i metafizycznych. Tempo, a nade wszystko ruch i gest, to główne zalety spektaklu, książkę duńską w interpretacji wyróżnionego za grę Marka Bargielowskiego prezentuje tzw. typ miśniowy, wszelkie bowiem hamletowskie emocje, a nawet refleksje przekazuje głównie ruchem i ekspresyjnym gestem, nie zapominając przy tym o mimice i poprawnej dykcji. W podobnym stylu są poprowadzone dalsze role. Szczególnie interesująca jest Teresa Marczevska w roli Ofelii — odmiennie, zmysłowo, a nie z płacizną lirycznością potraktowanej. Klaudiusz i Gertruda są bardziej powściągliwi, chociaż i im nie skazuje „szaleństwem” dostojność nie przeszkadza, gdy trzeba, w parterowej grze. W tym ujęciu dramatu namietności ludzkiej pelza i miota się przy ziemi, a nie, jak w innych odczyta-



HAMLET — Marek Bargielowski

Fot. G. Wyszomirska

niach — unosi tajemniczą groźbę po pomście do nieba.

Uwagi w tej „mini-recenzji” zawartej w „Reportażu teatralnym”, czyli jaka jest ta Polska, wydają mi się dziś zbyt ogólnikowe, niemniej jednak zasadniczy ich zabieg przylega do reżyserkich założeń „Hamleta” w 1972 w Łodzi. Reżyserkich i scenograficznych. Cóż zatem zmieniło się?

Maciejowski prezentuje nam obecnie „Hamleta” bardziej współczesnego i zarazem dojrzalszego. Ma do dyspozycji dwóch głównych wykonawców z toruńskiego spektaklu (Marczevska i Bargielowski — Ofelia i Hamlet), ma nadal scenografa, ZOFIĘ WIERCHOWICZ i dojrzałszy od toruńskiego zespołu aktorów. Owa „miśniowość” Hamleta w obecnej interpretacji MARKA BARGIELOWSKIEGO mniej rzuca się w oczy, chociaż nadal Bargielowski nie jest Hamletem statycznie wygłaszającym szekspirowskie wielkie monolog. Pytanie, być, albo nie być, nie dotyczy, jak się wydaje, filozoficznej kwestii życia i śmierci, dotyczy raczej aktualnej sytuacji człowieka w jego zmaganiach się z otoczeniem. Bargielowski zadaje to pytanie nie tylko sobie i publiczności, stojąc, jak to często bywało, przed rampą. Ofelia jest przy nim, on do niej się zwraca, ona jest częścią jego konfliktu i fragmentem jego rozmyślań. Wielki monolog Hamleta w odczytaniu łódzkim staje się prawie dialogiem. Hamlet i Ofelia nie tracą ze sobą fizycznego kontaktu, idą obok siebie, przystając, słowa mają konkretnego adresata.

Już ta jedna scena mogłaby stanowić klucz do odczytania zamiaru inscenizatora, jeżeli złoży się, że jest on w tym zamiarze konsekwentny. Książkę duńską nie był stoikiem, gdyż nie mógł być równocześnie statycznie filozofującym młodym człowiekiem i nieokleśnianym w swych porwach synem i kochankiem. Statyczny Hamlet jest już anachronizmem psychologicznym, a zatem i teatralnym. „Hamlet” nie jest sztuką do stylizacji. Hamlet po „rozmowie” z duchem ojca nie staje się szaleńcem, udaje tylko szaleństwo, chce nim pokryć swą wielką rozpacz, wzburzenie i rodzące się plany.

Nikt nigdy nie posadzał Hamleta o psychopatię, a przecież tak nagła zmiana w systemie zachowań mogłaby o tym świadczyć.

Maciejowski jest konsekwentny, nie popelnia tego błędu. Współczesność „Hamleta” nie tylko w wyborze akcentów treściowych, współczesność go również w sposobie reakcji. Ponieważ wysycę tragedię szekspirowską współczesną prawdą psychologiczną, to musi również rezygnować z niewspółczesnej oprawy scenograficznej. Nie można wskazać rzeczy rozegranej w Radzie Narodowej; Zofia Wierchowicz tworzy zatem konstrukcję, służącą nie asocjacjiom czasowym, a raczej aktorskiej na różnych poziomach i konfiguracjach. Surowość scenografii

i pewne elementy jej „wystroju” służą nastrojowi tragedii, a nie jej komentowaniu. Ten przyrząd do grania ma więc swoją niewątpliwą zaletę, jest dostosowany do wybiegających poza pojedyncze epoki obserwacji i konkluzji szekspirowskich.

Być może idea „machiny” do grania Szekspera zrodziła się z jego przekonania o nie dającej się zamknąć we fragmencie historii walce namietności i dążeń natury ludzkiej, którą autor „Hamleta” poznał w najgłębszej jej istocie. Jest to efektywna idea i o tyle prawdziwa, o ile prawda o człowieku zawarta w dramacie ma charakter uniwersalny. Nie sadzę w związku z powyższym, żeby Maciejowski chciał „machiny” używać do wszystkich sztuk Szekspera, są bowiem i u tego autora sztuki, ukazujące koloryt epoki w większym stopniu, niż koloryt namietności ludzkiej.

Powracając jednak do kwestii „Hamleta”, warto podkreślić przez konsekwencji i współczesności jego realizację w Teatrze im. Jaracza, konsekwentną i pogłębiającą grę Bargielowskiego w roli księcia duńskiego.

Nadal Hamlet jest ekspresyjny, ale w tej żywości buntu młodzieńczego jest sporo autentycznej refleksji, bo przecież ruch nie eliminuje myślenia, jak nas uczy współczesna cywilizacja. W obecnej wersji biologiczny Hamlet jest również Hamletem myślącym, w toruńskiej był zbyt sportowy, czy nawet gimnastyczny. Teraz Hamlet miota się jak osaczone zwierzę i to jest prawdziwe; dawniej Bargielowski wycinał karkołomne gonitwy po schodach, lub tarzał się po ziemi, co mogło się wydawać lekką przesadą.

TERESA MARCZEWSKA w łódzkim spektaklu jeszcze bardziej mi się podobała. Zachowując oryginalność interpretacji (erotyzm przed postradaniem zmysłów i apatia później; odwrotna kolejność zachowań niż u innych wykonawczyń roli Ofelii), stonowała nieco erotyczne gesty, które pojawiały się w toruńskim spektaklu nawet w scenach z Poloniusem.

Daleki jestem od potępienia erotyzmu, czy nawet seksu przekazywanego w sztuce, tym bardziej, gdy zakładamy, że przez sztukę ukazujemy się problemy współczesnego świata. Te drobne zatem przesunięcia w kierunku pogłębienia i wyekspozowania psychologicznych przesłanek działania osób dramatu w spektaklu łódzkim zadowolili mnie, nie pozostawiając innych niepokojów. Jakich niepokojów? Na przykład kogoś może bulwersować erotyzm, bo w usta poałunek, w wykonaniu Hamleta i jego matki, Gertrudy. To bezsporny — ktoś może powiedzieć — sceniczny znak skłonności seksualnej; a zatem jest to kazirodca skłonność, a zatem motorem postępowania — powiedzmy sobie w uproszczeniu — Hamleta nie był bunt, lecz miłość erotyczna do własnej matki i opętanie złości do stryja. Ta złość mogła do tego stopnia rozognić jego imaginację, że rozmowa z duchem ojca staje się już jednoznacznie tej imaginacji dziełem. Co wówczas się dzieje? „Hamlet” przestaje być tragedią ludzką, nieemojnością i buntem przeciwko tej niemożności mechanizmowi, cymkolwiek by one były: odwiecznym zwycięstwem intrygi i zbrodni, obawą przed konfliktowym działaniem, gdyż strach przed śmiercią, a raczej przed tym, czego nie znamy, jest silniejszy od walki ze złem. To ostatnie zdanie stanowi trawestację wypowiedzi samego Hamleta w monologu z I aktu, monologu, który jest przez Bargielowskiego mocno wyekspozowany i nie pozostawia wątpliwości co do moralnej inscenizacji.

W związku z tym bunt młodego Hamleta nie jest tylko podyktowany chęcią zemsty na huliwim stryju, a także wiarołomnej matce; i chociaż jest to bardzo osobisty afekt Hamleta, wyzwala on w księciu Danii najpierw zwątpienie w sensowność i ład świata, a później pragnienie walki. Toteż słowa: „Ofelio, idź do klasztoru!” są konsekwencją tego zwątpienia, a nie antyfeminizmem czy kompleksem Edypa. Cóż, istnieją współczesne teorie, które przypisują każdemu naszemu działaniu, a szczególnie społecznemu i twórczemu, mniej lub więcej nie wyżyty erotyzm. Na interpretacji Maciejowskiej być może zaciążyły teorie, albo odłaski tych teorii. Jeżeli jednak przyjrzymy się inscenizacji „Hamleta” w wydaniu Maciejowskiego jest biologiczna, to musimy zgodzić się na konsekwencje teje biologii w ujęciu scenicznym. Cóż przez to zuboża reżyser tragedii w jej warstwie psychologicznej? Wydaje się, że nie. Nawet gdyby jakieś teorie zaciążyły na odczytaniu utworu i jego realizacji, to i tak my również żyjemy w kręgu i pod naciskiem sugestii tych teorii (i praktyki). Cheemy, czy nie cheemy.

To chyba jest jeszcze jeden element współczesnienia „Hamleta”.

Akt I — Ducha nie ma! Ale głos ducha jest czymś w rodzaju głosów towarzyszących głosowi wewnętrznemu, który jednak musi się stać elementem gry na scenie. Pomysł z dłońmi wystającymi z przerw między stopniami schodów jest znakomity. Rytm mnożenia się liczby rąk i ich zanikanie daje świetną oprawę wizualną słowom „ducha”. Narastające w Hamlecie podejrzenia osiagają swój punkt kulminacyjny. Szaleństwo jest pozorem, szaleństwo jest zakamulowanym działaniem. Książę duński wątpi w to działanie, ale rozpętał je i musi się jego ruchowi poddać, jak musi się poddać okrucieństwu życia i śmierci.

Jego przeciwnik, Klaudiusz, jest spokojny. Za nim stoi majestat władzy. Żadna zbrodnia nie ruszy tego majestatu.

JAN TESARZ znakomicie zdystansował swój stosunek do „szaleństwa”: dość długo nie poddawał się niebezpiecznej sile jego działania. Pierwsze pęknięcie w monolocie spokoju ujawnia się w III akcie, gdy przerażony król z krzykiem: „światła!” — ucieka. Trupa aktorska — ze wstawką autorską młodego księcia — odegrała scenę zbrodni, o którą Hamlet podejrzewał stryja. Sprawa przestała być grą podejrzenia i imaginacji. Książę wystawiał króla.

Nieco później Klaudiusz usiłuje oczyścić się z grzechu przed Bogiem. Tesarz od olimpijskiego spokoju władcy przeszedł umiennie, poprzez dobrze odegrany wstrząs, do pokory i skruchy. Jest w tym głęboko ludzki, wzbudza współczucie, jak każdy upadły i pokonany, gdy oderwa z pokory. Ale nie tylko, Tesarz rysuje postać człowieka o prawych reakcjach zewnętrznych. Król nie jest tchórzem, nie jest głupcem i nie ma w nim niczego odrażającego. Widzimy człowieka wpłatanego w machinę (w machinę) historii, który krwią okupił tron i za tron znów musi zapłacić krwią. Tragedia jakby rozgrywa się w dwóch płanach: dramat zwycięzców i dramat pokonanych. Przejawienie ról może wywołać podobne skutki. Tesarz ze zrozumieniem i talentem rozegrał tę alternatywę.

Należy położyć na karb jednak umowności teatru, nie mimiczne występy wędrownego trupy teatralnej mogły tak wstrząsnąć królem. Jest to jeszcze jedno novum Maciejowskiego. Trupa zawsze była czymś niewygodnym w teatrze. Teatr w teatrze, jeżeli nie jest systemem naczyń połączonych, wydaje się, wbrew pozorom, obcym ciałem. Maciejowski chciał tego uniknąć i tylko znajomości tekstu zawdzięczamy fakt, że nie dziwi nas dość irracjonalna reakcja Klaudiusza na bezslowne aluzje aktorów trupy. (Jak to wiedza o życiu zastępuje nam często osobiste doświadczenie, że niekiedy nawet nie wiemy, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna...)

MARIA CHWALIBÓG jest piękną królową, o ciepłym, kobiecym głosie. Jest ponętą i ubiór jej nie służy gaszeniu tej urokliwości. I może przez to nasze ułajone, a grzeszne myśli bylibyśmy skłonni rzucić na kogoś innego? Klaudiusza? Hamleta? A jednak w scenie z Hamletem Maria Chwalibóg jest najlepsza. Przedtem majestat królowej nie pozwalał jej pokazać tego, co w niej aktorsko najcenniejsze: kobiecego ciepła. Sytuacja myśla i dość trudna. Maria Chwalibóg, moim zdaniem, wyszła z roli bez szwanku. Podobali się również: STANISŁAW KWASNAK (Horacy), ANDRZEJ HERDER (Rosenkrantz), KRZYSZTOF RÓŻYCKI (Laertes). Inni artyści, z małymi wyjątkami, dostrzegli się do stylu i poziomu przedstawienia.



PREZENTUJEMY UCZESTNIKÓW

ANNA OLCZYK-KOCIKOWA uzyskała dyplom Łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w 1959 r. Jest nauczycielką w Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi. Jej praca twórcza ogranicza się przede wszystkim do tkaniny artystycznej. W swoich gobelinach szuka przede wszystkim rozwiązań nowatorskich, wynikających przede wszystkim z techniki tkackiej. Jej gobelin „Kolejny” był jednym z pierwszych śmiałych gobelinów polskich, zrywających z obowiązującymi przez całe wieki kanonami utrzymania kompozycji tkackich w ramach prostokąta lub kwadratu. „Kolejny” wyszły poza obręb tła, wprowadzając w ten sposób pewną swobodę twórczą, wytyczając drogę dalszym eksperymentom dla innych artystów polskich. Do tego rodzaju rozwiązań tkackich zaliczyć można późniejszy gobelin Olczyk-Kocikowej „Koronowana”. Ważnym momentem twórczości Anny Olczyk-Kocikowej jest fakt, że nie trzyma się ona kurczowo raz wypracowanych form, lecz ciągle poszukuje nowych i nowych rozwiązań.

Olczyk-Kocikowa jest członkiem łódzkiej grupy ATE, wystawiała wielokrotnie w kraju i za granicą.



Anna Olczyk-Kocikowa — KORONOWANA — gobelin.

A jednak się kręci...

Miała to być rozmowa z redaktorem naczelnym, tradycyjna już w naszej praktyce, rozmowa „Odgłosów” z szefem pisma, które obchodzi jubileusz. A „Karuzela” skończyła właśnie piętnaście lat. Piętnaście lat i pół miliona egzemplarzy nakładu, rozchodzącego się po całym kraju. Gdyby nie trudności z papierem, nakład ten mógłby osiągnąć milion egzemplarzy. Kiedy odwiedziłam redaktora naczelnego Wojciecha Drygasa, w jego gabinecie właśnie odbywało się kolegium redakcyjne. A że według starożytnej zasady: tres faciunt collegium, więc w naszej rozmowie uczestniczyli również Karol Baraniecki i Adam Ochocki, notabene dwaj najstarsi pracownicy „Karuzeli”, wierni jej od pierwszych numerów, które ukazały się na świecie. Tak więc, spotkawszy się z kolegium, miałam przed sobą 60 procent zespołu redakcyjnego, składa się on bowiem z pięciu osób (obok wymienionych — Stanisław Ibis - Gratkowski i Bohdan Piątkowski).

ODGŁOSY: Jak sobie radzi czy wspólnie harmonijnie taki mały zespół?

A. OCHOCKI i K. BARANIECKI: To może my wyjdziemy? (Ale nie wychodzą).

W. DRYGAS: Musieliśmy zastanowić nowe metody organizacyjne pracy. Nie ma u nas tradycyjnych działów i kierowników są tylko dwa zespoły: tekstowy i rysunkowy. Dzięki temu droga materiału od chwili przejęcia go od autora po ukazanie się w piśmie, jest prosta i krótka. Poza tym nasi pracownicy to dobrzy, doświadczeni dziennikarze (statystyczna średnia stażu pracy wynosi 25 lat), którzy dobrze znają swój fach i obowiązki.

K. BARANIECKI: A propos. Przypomniałem sobie, że muszę na chwilę wyskoczyć do drukarni. (Tym razem naprawdę wychodzi).

ODGŁOSY: Czy wesoło jest być redaktorem naczelnym pisma satyrycznego?

W. DRYGAS: Powinienem powiedzieć, że tak. Ale naprawdę, to czasem jest całkiem smutno.

ODGŁOSY: Dlaczego?

W. DRYGAS: Może dlatego, że my, satyrycy widzimy wszystko w krzywym zwierciadle wyobraźni szczególnie wyczułonej na zło, krzywdę i ludzkie przywary. I staraliśmy się z nimi walczyć. A tymczasem widzimy, że pewne tematy powtarzają się stale, a więc — że nasza broń nie jest dostatecznie skuteczna. I satyrze też czasem opadają ręce.

A. OCHOCKI: Na dobrą sprawę wiele rysunków i felietonów sprzed piętnastu lat nie straciło aktualności i można by je dziś publikować bez zmian.

ODGŁOSY: Teraz rozumiem dlaczego wystawa rysunków satyrycznych „Karuzeli” cieszy się tak ogromnym powodzeniem.

W. DRYGAS: Czytelnicy się starzeją, problemy — nie.

ODGŁOSY: Właśnie, jak to jest z czytelnikami? Czy znacie ich, czy wiecie kto Was czyta?

W. DRYGAS: Przeprowadziliśmy ankietę, która wykazała, że

najliczniejszym czytelnikiem jest młodzież. I to zarówno akademicka, robotnicza, jak i szkolna. Nie jesteśmy z tego niezadowoleni, bo krytykując wady społeczne uczulamy na nie młodzież.

ODGŁOSY: Czy wobec tego znajdujecie miejsce dla tematyki młodzieżowej?

W. DRYGAS: Niestety, za mało. Ale jest to niemożliwe przy objętości pisma 12 mini-stronicowej. Mamy nadzieję, że uzyskamy więcej papieru i będziemy mogli wydawać 16 stron. Wówczas na pewno znajdzie się więcej miejsca dla spraw młodzieżowych.

ODGŁOSY: A właściwie to „Karuzela” jest...

W. DRYGAS: Może powiemy czym „Karuzela” nie jest. Nie jest tygodnikiem i nie jest dwutygodnikiem. Wychodzi dwa razy w miesiącu, czyli 24 razy w roku.

ODGŁOSY: A więc „Karuzela” nie jest...

W. DRYGAS: Nie jest pismem poważnym, chociaż podejmuje problemy poważne.

A. OCHOCKI: Nie jest niestrawną, chociaż wielu osobom podrażnia już wątrobę.

W. DRYGAS: Nie ma zwyczaju nie odpowiadania na listy. Odpowiadamy na każdy, z braku miejsca na łamach pisma — drogą korespondencyjną.

ODGŁOSY: Zapewne większość odpowiedzi brzmi: „Niestety, z braku miejsca nie wydrukujemy”.

W. DRYGAS: Trochę tak, ale wielu czytelników pisze do nas o swych kłopotach, sygnalizuje sprawy, które ich oburzają. Załatwiamy je bądź interwencyjnie, bądź przez wykorzystanie tematu do felietonu czy rysunku.

ODGŁOSY: Ale tu chyba nie wystarcza już pięciu etatowych pracowników?

W. DRYGAS: Współpracuje z nami 70 autorów. Około 50 piszących i 20 rysowników.

ODGŁOSY: Chyba nie tylko z Łodzi?

W. DRYGAS: Oczywiście. Publikujemy prace łódzian, ubolewamy jednak, że zbyt mało łódzkich literatów, środowiska, które wyso-

ko cenimy, interesuje się współpracą z „Karuzelą”. Nasi współpracownicy — pisarze rekrutują się poza tym ze środowisk Warszawy, Krakowa i Poznania, rysownicy głównie z Katowic, Wrocławia, Warszawy. Zależy nam specjalnie na współpracy ze studentami mającymi zdolności satyryczne. Wylansowaliśmy pięć debiutów studenckich, ale ani jednego z Łodzi.

ODGŁOSY: Piętnaście lat, to spory szmat czasu, zwłaszcza dla pisma, które powstało przypadkowo. Bo przecież miała to być jednodniówka wydana z okazji wyborów do Sejmu i rad narodowych w 1957 roku?

A. OCHOCKI: Zapotrzebowanie społeczne na tego typu wydawnictwo okazało się tak duże, że postanowiono pozostawić je przy życiu. Początkowo jako „kręci się kiedy chce”, a potem „wychodzi dwa razy w miesiącu”. I tak aż do dziś.

ODGŁOSY: Ale przecież to pismo przeszło jakieś przemiany!

W. DRYGAS: Przede wszystkim te, że z magazynu humorystycznego stało się pismem satyrycznym. I to było też zapotrzebowaniem społecznym. Rozpisując naszą ankietę byliśmy przekonani, że czytelnicy najmniej chętnie będą widzieli tematycznie społeczno-polityczną. Tymczasem okazało się, że właśnie tej się domagają, tylko w formie lekkiej, strawnej.

ODGŁOSY: Z czego jesteście najbardziej dumni?

A. OCHOCKI: Z popularności. Wezwałem kiedyś do domu szklarkę do wybitej szyby. Podczas rozmowy zapytał mnie, gdzie pracuję. Odpowiedziałem. Skrzywił się: „Panie, karuzela to kiepski interes, bo latem to jeszcze, ale zimą to już nie idzie”. Zapewniłem go, że moja idzie, bo ma zadanie.

ODGŁOSY: A właściwie to skąd ta nazwa? Przecież wszystkie pisma satyryczne mają w tytule coś ostrego, kłującego, a Wy...

A. OCHOCKI: Kiedy pismo powstawało, zebrało się grono współpracowników, żeby wymyślić tytuł. Jedną z koleżanek, nazywała się Teresa Wojciechowska, zaproponowała „Karuzelę”. I tak już zostało.

ODGŁOSY: To niemożliwe!

A. OCHOCKI: Mamy protokół z tego zebrania, nie pomoże zasłanianie się brakiem pamięci. I ludzie ukuli powiedzenie „Karuzela rozwesela”, a to wcale nie jest nasze hasło.

ODGŁOSY: Czyli statystycznie rzecz biorąc...

A. OCHOCKI: Ze statystyką to my jesteśmy na bakier. Psujemy ją. Bo dziennikarz średnio żyje 53 lata, a my z Baranieckim mamy we dwóch już 120 lat. Tylko należny psuje nam tę statystykę, bo odmładza.

W. DRYGAS: Ja im w ogóle psuję statystykę. Bo beze mnie średnia waga pracownika „Karuzeli” wynosi 72,4 kg, a ze mną 80 kg.

ODGŁOSY: Ale jest to niewąt-

pliwie ciężar gatunkowy. O czym świadczy Wasza popularność za granicą. Pisaliśmy już w „Odgłosach”, że przedrukowały Was satyryczne pisma zagraniczne, jak „Krokodyl”, „Pikker”, „Dikobraz”, „Eulenspiegel”, „Literaturna Gazieta” i inne.

W. DRYGAS: „Krokodyl” wydał zbiór felietonów Ochockiego, w Estonii wyjdzie wybór felietonów i rysunków „Karuzeli”. Nasza wystawa rysunku pojedzie do Sofii, Lipska i Berlina.

ODGŁOSY: Każdy poważny wywiad należy zakończyć pytaniem o plany na przyszłość.

W. DRYGAS: Chcemy dalej rozkręcać robotę nie wykręcając się od obowiązków i odpowiedzialności tak aby czytelnicy nie kręcili nosem. Mamy zamiar zakreślić o większy przydział lepszego papieru i lepsze maszyny drukarskie. I nie dostać zawrotu głowy od tego kręcenia. A chcielibyśmy jeszcze odkręcić czas choćby o te piętnaście kilogramów młodzieży.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł zawsze pogodny Karol Baraniecki ze słowami: — To ja już wróciłem.

Na co ja: — Niestety, już kole-
dzy wszystko o Panu powiedziałeli.

— Ale oni nie mają na to żadnych dowodów — odpowiedział on.

Notowała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

RAZ NA WESOŁO



Karol Baraniecki

— Zapomniałeś włożyć maskę! Masz przecież przemawiać na zebraniu!

Rysowana satyra polityczna i obyczajowa, karykatura, żart rysunkowy mają w prasie polskiej piękne i dawne tradycje. Zawsze cieszyły się żywym zainteresowaniem, bo też zawsze były czułym rejestratorem i komentatorem swego czasu. Przerzucając żółte plachty starych gazet i plachty, które nie zdążyły położyć zupełnie i strony zupełnie jeszcze świeżych i przyglądając się tzw. „dowiepom rysunkowym” do wiemy się z nich (oczywiście, jeżeli będziemy tego chcieli naprawdę) więcej o aktualnych onegdaj niż o wczoraj sprawach, niż z niedługo artykulu i naukowego opracowania. Odnajdziemy w nich bowiem nie tylko komentarz do zdarzeń, sytuacji, znanych postaci i do obyczajowości, ale przede wszystkim atmosferę czasu, temperaturę dni, w których powstawały, styl owych dni i ich modę. A więc to, czego nie jest w stanie przekazać najbardziej wnikliwa i najuczciwsza monografia.

Rejony penetracji satyry i żartu rysunkowego obejmują wszystkie dziedziny ludzkiej egzystencji i jak uczy historia tego gatunku twórczości nie dla niej nie jest za wielkie, za święte, za papieskie, ale też nie za małe, nie za blade. Wszystko, co człowiecze oglądane jest jedną lub drugą stroną lornetki. Stąd też ogromna rozpiętość ciężaru gatunkowego tej formy satyry i żartu, wynikająca z wagi poruszanych spraw i zjawisk. Ulotny i niefrasobliwy żart rysunkowy bawi, rozśmiesza, ale często kryje pod tą ulotną i niefrasobliwą formą głęboką treść humanistyczną lub intelektualną. Tak jest na jednym biegunie. Na drugim rysowana satyra polityczna, która ma u nas szczególnie piękne karty. Żeby nie szukać daleko, wystarczy sięgnąć do czasów ostatniej wojny. Ileż śmiechu, krzepiącego śmiechu dostarczały drukowane w prasie podziemnej karykatury Hitlera i „panów świata”.

W Salonie Sztuki Współczesnej na Piotrkowskiej zorganizowana została wystawa rysunków z okazji 15-lecia tygodnika satyrycznego „Karuzela”. Jest na tej wystawie rysunek Karola Baranieckiego, przedstawiający Chrystusa uginającego się pod brzemieniem krzyża, kroczącego przez ruiny Ulsteru, do którego dwaj uzbrojeni po zęby

żołnierze angielscy krzyczą: „katolik czy protestant?”. Jest rysunek Stanisława Ibis-Gratkowskiego, na którym żołnierz z napisem US na lotniczym hełmie, przepasany gwiazdą flagą rozrzuca po zrujnowanej wietnamskiej ziemi bomby — ziarno śmierci. Podpis pod rysunkiem brzmi: „Siew z plachty”. Takich przykładów ostrej, bezkompromisowej i dosadnej satyry politycznej na owej wystawie znajduje się wiele, jeszcze więcej było ich przez piętnaście lat na łamach „Karuzeli”.

Między satyrą polityczną a ulotnym żartem rysunkowym, przechodzącym często w humor abstrakcyjny (jak ma to miejsce na przykład w twórczości Zbigniewa Jujki i Grzegorza Stańczyka) mieszczą się ogromne rewiry satyry społecznej i obyczajowej i karykatury postaci zwłaszcz z życia kulturalnego. Na wystawie prezentowane są prace (około 300 rysunków) 24 autorów, współpracujących z „Karuzelą”, a rozsiadanych po całej Polsce. Chciałbym w tym miejscu przypomnieć pokrótce sylwetki kilku z nich z pismem najściślej i najdłużej związanych.

KAROL BARANIECKI, pochodzi ze Lwowa, uczeń prof. prof. Matkego i Kleimmana, debiutował w przedwojennych pismach satyrycznych w 1928 roku. W czasie wojny, przebywając w Związku Radzieckim, współpracował z prasą i Armią WP. Po wojnie drukował swoje rysunki we wszystkich pismach satyrycznych, w prasie codziennej i w licznych tygodnikach. Obecnie jest kierownikiem działu graficznego „Karuzeli”. Zasadniczym przedmiotem jego zainteresowań jest satyra polityczno-społeczna i obyczajowa. Baraniecki operuje czarną, mocną kreską, jego rysunki robią czasami wrażenie drzeworytów. W samej ich formie jest wiele plebejskiej dosadności, sam dowcip zaś lub satyryczny komentarz są zwykle ujęte zaskakująco i wyraziście. Twórczość satyryczna Baranieckiego jest w istocie rzeczy nieczym innym, jak celna i bezkompromisowa publicystyka.

STANISŁAW IBIS-GRATKOWSKI, absolwent Wydziału Grafiki PWSSP w Łodzi, operuje odmienną formą plastyczną, choć tematyka jego rysunków jest podobna. Upra-

wia ponadto karykaturę „biorąc na swój warsztat” ludzi kultury, sztuki, dziennikarzy. Poza twórczością satyryczną zajmuje się plakatem i grafiką książkową współpracując z Wydawnictwem Łódzkim. Od 1962 roku jest stałym pracownikiem redakcji „Karuzeli”.

Rysunki JÓZEFA SKONIECZNEGO (SKONY) znają doskonale mieszkańcy Łodzi nie tylko z „Karuzeli”, ale również z sobotnich wydań „Głosu Robotniczego”, w którym od wielu lat pracuje jako grafik. Skonieczny również ukończył łódzką PWSSP. Poza twórczością satyryczną uprawia grafikę użytkową i plakat.

Z łódzkich plastyków współpracujących ponadto z „Karuzelą”: Jerzy Sołwiński, Ludwik Golec, Jerzy Ibis-Jankowski.

Kiedy mówi się o rysunku satyrycznym, pamiętać trzeba, iż jest to specjalnie trudny gatunek twórczości plastycznej. Pomijam już tu prędkość intelektualną, którą musi legitymować się autor tych rysunków. Rysuje on dla bardzo szerokiego odbiorcy, a fakt ten wymaga od niego przede wszystkim komunikatywnego sposobu przekazywania. Z kolei rysunek satyryczny musi być lapidarny i zwięzły, mówiący tylko to, co chce powiedzieć, bez zbędnych ornamentów i upiększeń, które rozpraszałyby uwagę oglądającego, a przecież satyra odgrywa ogromną rolę społeczno-wychowawczą. Pogodzenie tych wszystkich elementów bez uszczerbku dla wartości artystycznych samej formy plastycznej rysunku, to zadanie nielatte.

Wystawa „Karuzeli” jest jedynie przypomnieniem oglądanych onegdaj rysunków i przypomnieniem autorów. Ale wystawa, jak się okazuje, trafiała w dziesiątkę — w Salonie na Piotrkowskiej tłumy oglądających. Ludzie przychodzą i reagują spontanicznie śmiechem na satyrę i dowcip. Rysownikom „Karuzeli” można pogratulować tej wystawy i tej reakcji widzów.

A tak na marginesie tej wystawy — warto byłoby się zastanowić nad wydaniem obszernego albumu rysowników „Karuzeli”. Byłoby to cenna i ze wszelkich miar potrzebna pozycja. Takich wydawnictw odczuwa się wyraźny brak na naszym rynku księgarskim.

A. G.



St. Ibis-Gratkowski

Siew z plachty.

Lódzki Festiwal Etiud Studenckich

Festiwal Etiud Studenckich ma swoją bogatą tradycję, zorganizowany po raz pierwszy w 1957 roku, przez wiele lat był jedną z faworyzowanych przez publiczność imprez filmowych. Po kilkuletniej przerwie odbył się w maju VII Festiwal Etiud Studenckich, prezentujący około 40 filmów zrealizowanych w tym czasie przez studentów PWSFTiT w Łodzi. Zawsze duże zainteresowanie tą imprezą, która jest przecież w końcu prezentacją prac studentów, tłumaczy się nie tylko aspektami jej walorów artystycznych. Profesjonalnemu kinu polskiemu, jego poszukiwaniom i propozycjom nieustannie towarzyszy pewna społeczna kontrola, znacząco silniejsza, aniżeli ma to miejsce w przypadku sztuk innych, wszystkie sukcesy i potknięcia odnotowywane są ze szczególnym zaangażowaniem. Toteż szansa zażenowania „wylegarni” twórców, którzy w nadchodzących latach decydować będą o obliczu polskiego kina, jest dla jego kibiców rzeczą nie do pogardzenia. Właśnie na festiwalu etiud studenckich zwracali swymi etiudami uwagę: Roman Polański („Dwaj ludzie z szafą”), Janusz Majewski („Rondo”), Jerzy Skolimowski („Rysopis”), Krzysztof Zanussi („Śmierć prowincjała”), Marek Piwowski („Muchotłuk”), wówczas zbierali nagrody za prace studenckie, w kilka lat potem pozwalali wierzyć w wartości i szanse polskiej sztuki filmowej. Trudno być prorokiem we własnym kraju, jednakowoż w większości przypadków można było z pokazów szkolnych etiud wynieść pewne przewidywania co do dalszej drogi artystycznej twórców tych filmów.

Jak w obliczu tej tradycji wypadł tegoroczny Festiwal? Odpowiedzi jednoznacznej szukać, oczywiście, nie sposób, choć o określenie pewnych jego cech pokusić się można. Czterdzieści filmów z czterech lat poszukiwań i pracy studentów PWSFTiT, to ilość, która można traktować jako swoisty sondaż postaw, ambicji i talentów ich realizatorów. Nie sądzę jednak, iż będą odosobniona w stwier-

dzeniu, że tegoroczny Festiwal poza, w większości uhonorowanymi nagrodami, wyjątkami nie dostarczył zbyt wielu wrażeń optymistycznych. Nie był to pokaz filmów, które legitymowałyby się tym, na co, mając na uwadze ich studyjny charakter, czekaliśmy najbardziej. Czekaliśmy na filmy, które nawet niedoskonałe warsztatowo, pozwoliłyby odnaleźć to, czego brak w naszej profesjonalnej kinematografii — autentyczną pasję poszukiwań i prezentacji spraw, którymi żyje pokolenie twórców tych filmów. I jeśli nawet tak w propozycjach fabularnych jak i dokumentalnych temat prowadził do tych spraw, to jego widzenie, zbyt często grzęzło w powierzchowności i stereotypach. Nie wystarcza sprawę dostrzec, dopiero jej interpretacja określa wartość i sens sztuki. Interpretacji tej szukamy w przypadku fabularnym, w konstrukcji i działaniu bohaterów, w ich istnieniu w obrazie filmowym, w przypadku dokumentu — w widzeniu autentycznych bohaterów w określonych kontekstach życia społecznego, w wyborze obrazów, które znaczą i tłumaczą zjawiska.

Konstatacja faktów oczywistych, powielanie opinii obiegowych, przy braku drogi dotarcia do pytań „dlaczego” i „co dalej” — to jeden z grzechów głównych wielu pokazywanych etiud, a przecież niejedną z nich chwylała sprawa ważna, związane z postawą młodych ludzi wobec życia, ich poszukiwań i rozterek, a także problematykę tych rejonów życia społecznego, które muszą budzić niepokój. Bronili się te etiudy, w których konstatacja szły w parze tak ze świadomością wyboru tematu, jak siłą jego prezentacji, w których czuło się osobisty wobec sprawy stosunek realizatora. Przypomnijmy tu „Absolutorium” Łozińskiego i Mogilnickiego, „Jutro” Wisniewskiego i Kozłowskiego, „Dzień pracy” Barańskiego i Rybeżyńskiego, czy „Zofię i Ludmiłę” Bensaio i Pótrolniczaka.

W propozycjach fabularnych i fabularyzowanych zła zabawa zaczyna się już na etapie scenariusza — wydu-

dialogi z ich pseudofilozofią musiały ugrobić temat i bohaterów. („Siła przebiecia”, „Listopad”, czy doskonały w pierwszej części „Styl dowolny”). I znów przy wszystkich widzianych niedoskonałościach cenić trzeba film A. Barańskiego „Podanie”, czy „Argentyne” S. Piwowarskiego — jest w tych filmach i pomysł i dobry bohater, jest próba zawarcia idei utworu nie tylko w fabule i dialogu, znaczy w nich i dramaturgia, obraz, i tworzona przezeń atmosfera, jest próba tworzenia uogólnień, wyrastających poza jednostkową sytuację fabularną. Przysgnębiają zaś działały te etiudy, w których prym wiodły pseudofilozoficzne dyskusje, w których walor ich twórcy wierzyli, impresje, których nie tłumaczył ani pomysł, ani artystyczna realizacja, próby dokumentalne, z których nie wynika.

Musi się w tym miejscu rodzić pytanie (mamy przecież do czynienia z pracami szkolnymi) o zakres ingerencji opieki pedagogicznej, której widoczny brak w przypadku kilku etiud szczególnie uderza. Wydaje się, iż winna ona już mieć miejsce na etapie scenariusza, choć wiadomo, że może on czasami nie przesądzać ostateczną wartość przyszłego filmu. Większa dyscyplina i świadomość intelektualna winna stać u początku pracy nad etiudą, autentyczna wrażliwość obrazowa i umiejętność filmowe opowiadania i tak ujawni się w jej toku. Wiara w pomysł to chyba na tym etapie twórczego działania jeszcze za mało.

Nie znając pełnej prawdy o sprzeczności filmowej, oddawa-

nym w ręce studentów i o warunkach obróbki laboratoryjnej, trzeba jednak wspomnieć o niedoskonałości sztuki operatorskiej, ujawnionej na tegorocznym Festiwalu. Braku w wielu filmach obrazowej jedności stylistycznej nie można przecie tłumaczyć warunkami technicznymi. W wielu wypadkach o udział i ingerencję opiekuna pedagogicznego też chyba trzeba tu pytać. Przed kilkoma miesiącami miałam okazję czytać wypowiedź jednego z absolwentów naszej Szkoły, Jerzego Skolimowskiego, o funkcji i potrzebie świadomości roli montażu w dziele filmowym, o tę świadomość też warto po tegorocznym Festiwalu pytać. Nie widać też było w pracach studentów możliwości, jakie im daje współistnienie w Szkole wydziału reżyserskiego i aktorskiego, praca z aktorem tak zawodowym jak i amatorem nie mogła nikogo usatysfakcjonować. I jeszcze jedna głęboka wątpliwość — czy to możliwe, by w dzisiejszych czasach inwazji barwy na ekrany świata, nasi studenci realizowali wyłącznie filmy czarno-białe. Jedynym tegorocznym zestawie film kolorowy „Listopad” P. Andrejewa, z doskonałymi zdjęciami Jacka Zygadły, to niejako nadzieję pierwsze metry większej ilości barwnej taśmy w rękach studentów.

To, że Festiwal Etiud Studenckich wyprowadza filmy szkolne z murów uczelni, daje ich autorom szansę spotkań z opiniami ludzi spoza akademickiego środowiska, opinii mniej bądź bardziej słusznych i autorytatywnych wydaje się rzeczą potrzebną dla dalszej pracy ich samych i ich opiekunów.

OBIEKTYW

W CECILIENHOF
PRZY OKRĄGŁYM STOLE

Wielu już naszych rodaków odwiedziło miasto Poczdam w Niemieckiej Republice Demokratycznej. A chyba każdy, kto tam był, oglądał luksusowy pałacyk myśliwski ostatniego kronprince — Cecilienhof. Centralną salę pałacyku wypełnia wielki okrągły stół ozdobiony chorągiewkami, radziczką, Stanów Zjednoczonych i brytyjską. To przy tym właśnie stole w dniach od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 roku odbywała się historyczna konferencja poczdamska.

Ten stół i pokryte boazerią ściany Cecilienhofu wiernie odwzorowane w studio Telewizji Warszawskiej przy Wroniczu posłużyły za dekorację widowiska „Poczdam 1945” (scenariusz — Ryszard Frelek i Włodzimierz Kowalski, komentarz — Edmund Osmańczyk; reżyseria — Roman Wionczek; reżyseria TV — Joanna Wiśniewska; scenografia — Jerzy Masłowski; Teatr Telewizji Warszawa — 8. V. 1972). Widowisko opracowane zostało na podstawie dokumentów i pamiętników, pozwalających odtworzyć fragmenty autentycznych obrad.

Felieton nie jest miejscem dla rozważań ogólniejszej natury, dotyczących historycznych wydarzeń. Jest faktem, że właśnie w Poczdamie przywódcy Wielkiej Trójki — Józef Stalin, Harry Truman i Winston Churchill (zamieniony w czasie trwania konferencji przez nowego premiera brytyjskiego Clementa Attlee) przyznali Polsce prawo do ziem położonych na wschód od linii Odra — Nysa Łużycka.

Jest faktem również, że to delegacja radziecka z jej przewodniczącym była rzeczniczką rozwiązania tej sprawy zgodnie z naszymi żywymi interesami i z naszym historycznym prawem do tych ziem. I że walka dyplomatyczna o taką konkluzję obrad poczdamskich w tej materii miała przebieg dramatyczny.

Tym właśnie treścią obrad poczdamskich poświęcono nowe widowisko teatru faktu. Oczekiwaliśmy je z zainteresowaniem, zastanawiając się z góry, na ile może ono okazać się wtórne w stosunku do „Epilogu norymberskiego” Jerzego Antczaka. Realizacja „Poczdamu 1945” wykazała jednak pełną odmienność koncepcji.

O ile „Epilog” operował w śmiatli sposób umownością, ledwie markując autentyczne sytuacje (przypomnijmy sobie rolę Lapidiego-narratora, który „na wzięty” przeobraził się w prokuratora amerykańskiego Jacksona; albo red. Małcużyńskiego, który przerywał chwilami bieg akcji, by zwyfikować jakąś sytuację w świetle osobistych wspomnień), o tyle w widowisku poczdamskim autorzy poszli na formułę znacznie prostszą. Na zwykłą rekonstrukcję przeszłości.

Niewielki udział umowności sprowadził się do wyjaśnienia, że przy obsadzie historycznych postaci nie kierowano się zbyt ściśle podobieństwem osobistym. W czasie trwania widowiska mieliśmy jednak do czynienia z tymi właśnie historycznymi postaciami, a nie — jak w „Epilogu” — z aktorami markującymi postacie.

Pewnym podobieństwem było zaproszenie do udziału w widowisku świadka jawnej części historycznych obrad — red. Edmunda Osmańczyka. O ile jednak red. Małcużyński w „Epilogu” wtopiony został jakby w akcję, Osmańczyk odgrywa w „Poczdamie 1945” rolę komentującego wydarzenia z zewnątrz, wypełniającego intermedia między poszczególnymi scenami.

Wieczór, w którym nadano „Poczdam 1945”, można uznać za telewizyjne święto. Był to bowiem jeden z rzadkich programów, kiedy specyfika telewizyjna świeci niezaprzeczalnym triumfem. Widowisko par excellence polityczne, pozbawione elementów fikcji fabularnej, potrafiło przykuć na półtorej godziny uwagę widza i dać mu pełnię wrażeń.

Trudno tu nawet rozpatrywać spektakl od strony poszczególnych kreacji aktorskich. W pamięć zapadną nam z pewnością postacie Stalina (Mariusz Dmochowski), Trumana (Jerzy Kaliszewski), Churchilla (Mieczysław Pawlikowski) i Bieruta (Mieczysław Milecki). Ale przede wszystkim pozostanie nam w pamięci widowisko poczdamskie jako całość.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

za okres od 1 do 7 maja 1972 r.

WIELKI	TEATRY		
	ilość spekt.	liczba widzów	proc.
„Henryk VI na łowach”	1	1260	100
„Uprowadzenie z seraju”	1	1260	100
„Wieczór baletów polskich”	1	1260	100
„Człowiek z La Manchy”	1	1260	100
„Madame Butterfly”	1	1260	100
„Białowłosa”	1	900	70
NOWY			
„Opowieści lasku wiedeńskiego”	1	350	50
„Idiota”	2	840	60
„Zołnierze i bohater”	3	2100	100
NOWY			
MALA SALA			
„Rodeo”	1	200	100
POWSZECHNY			
„Król Lear”	1	660	100
„Beco, ale w ostrogach”	1	660	100
„Pierła”	6	3960	100
„Ojciec królowej”	1	660	100
JARACZA			
„Hamlet”	3	1488	96
„Mirandolina”	1	410	80
JARACZA			
MALA SCENA			
„Balkon”	1	92	100
7,15			
„Tredowata”	4	1668	100
„Diosenki pań swawolnych”	2	664	79
OPERETKA			
„Diabeł nie śpi”	6	5398	89

Wiosenny konkurs „Odgłosów”

WSZYSTKO O KSIĄŻCE

Jak wiadomo rok bieżący ogłoszony został Międzynarodowym Rokiem Książki. Z tej okazji — jak i z racji Dni Oświaty, Książki i Prasy — ogłaszamy wspólnie z Zarządem Wojewódzkim ZMS i z Wojewódzką Biblioteką Publiczną konkurs, którego tematem będzie książka.

W najbliższych numerach „Odgłosów” opublikujemy szereg zadań konkursowych. Odpowiedzi prosimy nadsyłać na kartkach pocztowych — do dnia 10 czerwca — na adres: ŁÓDŹ, „ODGŁOSY”, PIOTRKOWSKA 96 — „WSZYSTKO O KSIĄŻCE”. W losowaniu nagród, które ufundowała Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Łodzi, oraz Zarząd Wojewódzki ZMS w Łodzi wezmą udział odpowiedzi, w których przynajmniej dwa zadania konkursowe rozwiązane zostały prawidłowo.

Na uczestników konkursu czeka 5 EGZEMPLARZY „LEK-SYKONU PWN”, 5 KOMPLETÓW PŁYT DO NAUKI JĘZYKA OBCEGO, 25 BONÓW KSIĄŻKOWYCH PO 100 ZŁ KAŻDY.

ZADANIE KONKURSOWE NR 2

W Polsce istnieje około czterdziestu wydawnictw książkowych. Jedną z najbardziej znamienitych cech ruchu wydawniczego w Polsce Ludowej jest ogromna dynamika wzrostu tak liczby tytułów jak i nakładów. Pod względem liczby tytułów Polska znajduje się w pierwszej dziesiątce krajów świata — łączna zaś cyfra nakładów przewyższa czterokrotnie najwyższe nakłady roczne przed rokiem 1939. Przeciętnie ukazuje się około 9 tysięcy tytułów rocznie o łącznym nakładzie około 100 milionów egzemplarzy. Te ogromne zadania realizują firmy wydawnicze. Winiетки sześciu wydawnictw (spotykane na tzw. grzbiecie książki) drukujemy obok.

Zadanie konkursowe: podać pełne nazwy przynajmniej trzech wydawnictw, których viniетки publikujemy.



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

MODA NA BAWARSKIEGO KRÓLA?

W zimowym ogrodzie swej monachijskiej rezydencji pływali podziwiali się do wody wpuśczonego chemika by staw miał kolor morza. Ukryty mechanizm poruszał koło, które sprawało, że tworzyły się fale rozbijające się u stóp... Himalajów. Himalaje były namalowane.

Ze swym ulubieńcem, a-



Aktor Helmut Berger w roli Ludwika II w filmie Viscontiego

ktorem Józefem Kainzem pojawiał się nagle w miastach i miasteczkach Bawarii przebrany za Wilhelma Tellę, podczas gdy Kainz deklamował głośno poematy Schillera.

Marzył, fantasta żyjący w świecie legend, król Bawarii, Ludwik II, którego tajemnicza śmierć w jeziorze Starnberskim do dziś nie została wyjaśniona, od dawna fascynował artystów i poetów. Verlaina nazywał ekscentrycznego władcy jedynym prawdziwym królem stulecia. Jean Cocteau zamierzał nakręcić o nim film, Dali wyrażał się o królu, który zmarł w roku 1886, jak o swym „przypieku”. Kim był ów młodzieńczy władca, który nigdy właściwie nie wyrósł na dorosłego mężczyznę, jakby ciągle pozostając w świecie bałek i mitów, fantasta i neurastenik, wielki mecenas sztuk, wspierający hojną ręką teatr, wznoszący nowe budowle, wspierający Ryszarda Wagnera, któ-

ry bez pomocy króla nie wiele mógłby osiągnąć?

Obecnie król Bawarii stał się niezwykle modny. Jest natchnieniem filmowców. Sam mistrz filmowy Luchino Visconti, autor ekranowej adaptacji „Śmierci w Wenecji” nakręca film o Ludwiku II z Helmutem Bergerem i Romy Schneider w rolach głównych. W jesieni film wejdzie już na ekrany. Młody reżyser Hans-Jürgen Syberberg w ciągu jednego dnia zrobił film o bawarskim królu. Obraz przygotowany został dla telewizji NRF i jego pokaz będzie trwał dwie i pół godziny. Premiera odbędzie się z końcem czerwca. W końcu maja w kinach NRF pojawił się na ekranach stary, nakręcony jeszcze w roku 1934, film Helmuta Kautnera. A w Londynie podobno filmowcy zastanawiają się nad sfilmowaniem postaci bawarskiego króla.

Hamburska „Die Zeit” przypomina, że istnieje jeszcze niemy film o Ludwiku, nakręcony w roku 1929 przez Wilhelma Dieterle. Podobno — jak to pół serio, pół żartem stwierdza dziennik „Die Zeit” — mówi się o unowocześnieniu owego filmu i puszczaniu go na ekrany kinowe. To koniec? Z pewnością jeszcze ktoś się znajdzie — kpi już wyraźnie dziennik — choć nie wiemy jeszcze kto i nakręci jeszcze jeden film o Ludwiku. Jaka jest przyczyna tej niezwykłej fascynacji osobą bawarskiego króla?

Visconti widzi w nim ofiarę konfliktu między stanowiskiem władcy, a jego otoczeniem, które nie rozumiało tego romantyka, marzyciela, może obłąkańca. Stąd też tragizm na szekspirowską skalę. W osobie Ludwika II dostrzega jednak wielkość i sądzi, że warto tragizm jego postaci, jego losu przenieść na ekran. Podobnie dla Syberberga król Ludwik ma w sobie coś z tragicznego losu i wielkości bohaterów szekspi-

rowskich tragedii. Reżyser chciał wydobyć w swym filmie wewnętrzne konflikty króla, sprzeczności jego natury, które sprawiały, że ów władca marzył o wspaniałości monarchy, a równocześnie projektował łódź podwodną. Król, choć dla ogółu mieszkańców Bawarii nie szczególnie dobrze nie zrobił, cieszył się wśród nich ogromną popularnością. Panowało bowiem powszechne przekonanie, że to był „dobry król”, tylko że pozostawał pod wpływem złych ludzi i złych sił.

Na razie Klub im. Króla Ludwika w Monachium, liczący 600 członków, ustami swego przewodniczącego protestuje przeciw nakręcaniu filmu o Ludwiku przez Viscontiego. „Ten macher filmowy z Italii — powiedział przewodniczący — nie potrafi dać autentycznego obrazu, ponieważ życie miłosne i śmierć Jego Królewskiej Mości przedstawia w zbyt ciemnym świetle. To jeszcze nie udowodnione, że król swego kawalerzystę bardziej kochał niż królową Sisi”. Dla wyjaśnienia dodajmy, że król Ludwik II zdradzał niedwuznacznie opanczy pociąg seksualny.

CASSOLA O SOBIE SAMYM

Carlo Cassola, jeden z wybitniejszych pisarzy włoskich doby współczesnej, mówił niedawno w Genewie o sobie samym i swej twórczości.

Cassola urodził się w Rzymie w roku 1917. Mieszka w Grosseto w Toskanii. Jest z zawodu nauczycielem. Napisał około dziesięciu powieści, z których, znana polskiemu czytelnikowi, „La ragazza di Bube” (polski tytuł: „Jego dziewczyna”) otrzymała Prix Strega, będącą odpowiednikiem francuskiej nagrody Goncourtów. Udzielając wywiadu, Cassola zaczął od stwierdzenia, że pisząc kładzie nacisk na zjawiska codzien-

ne, nierzad drobne, „topiące” w nich fakty i wydarzenia bardzo ważne. Również jeśli chodzi o bohaterów powieściowych, to autor pomija ich charakterystykę, nie opisuje ich przeżyć wewnętrznych i ich myśli. I tak np. w jednej z powieści widziemy wciągniętego bohatera, lecz przez cały czas akcji nie wiemy nic bezpośredniego o jego przeżyciach. „Jak widzieć — mówi Cassola — pomijam osady, tak chętnie stosowa-

wane w powieści tradycyjnej, choć respektuję na ogół tradycyjną strukturę powieści...”. Gdy przeminęła wojna Cassola zrozumiał, że jego młodość się skończyła. To co działo się zaledwie kilka lat temu wydawało mu się odległe o tysiąclecia. Napisał wówczas „Il taglio del bosco” (Wyrąb lasu) o przeżyciach drwała, który stracił żonę i dla którego życie straciło wszelki sens. Przeszłość była dla drwała krainą

szczęścia, do której nie miał już powrotu. Dodajmy od siebie, że Carlo Cassola jest prawdziwym mistrzem w przedstawianiu równoległych konfliktów psychologicznych i społeczno - politycznych. Przed wojną debutował dwiema nowelami. Po wojnie, podczas której należał do włoskiego, antyfaszystowskiego ruchu oporu, pierwszą jego książką była powieść o robotnikach komunistach pt. „Stary towarzysz”.

„HAMLET” W WYKONANIU BALETU GRUZIŃSKIEGO

Na scenie Teatru im. Pallaszwili w Tbilisi znany choreograf Bachtang Czabukiani wystawił balet pt. „Hamlet” z muzyką gruzińskiego kompozytora Rawaza Gabiřwadze. Warto podkreślić, że Bachtang Czabukiani zinterpretował choreograficznie „Hamleta” z wielkim mistrzostwem, zachowując wszystkie dramatyczne akcenty szekspirowskiej tragedii. Niewątpliwie wykrzytał on swe doświadczenia z poprzedniego wystawienia szekspirowskiego dzieła „Otello”, za które otrzymał Nagrodę Leninowską.

został na scenie Teatru Wielkiego w Moskwie podczas niedawnych gościnnych występów tbiliskiego teatru w stolicy ZSRR. Widzowie moskiewscy przyjechali spektakl z ogromnym zainteresowaniem. Sukces przeszedł wszelkie oczekiwania.

„CUDOWNA WENECJA”

Wśród wielu publikacji we Francji na temat Wenecji ukazała się ostatnio jeszcze jedna pt. „Cudowna Wenecja”. Książka — jak to stwierdza szwajcarski dziennik „Journal de Genève” —

zasługuje na szczególną uwagę, pomimo banalnego tytułu. „Cudowna Wenecja” posiada mnóstwo ilustracji, a są to reprodukcje wielu dzieł wybitnych grafików weneckich. Książka pięknie wydana, przyczynia się do poznania skarbów architektury,

sztuki, historii Wenecji i jej życia codziennego w dawnych wiekach. Dochód z rozprzedaży wydawnictwa przeznaczony jest na ratowanie tego wspaniałego miasta zagrożonego w swym istnieniu przez wodę.



Grawiura de Matteo Pagano



KSIĄŻKI ROKU I KSIĄŻKI W KOLEJCE

SONDA WSRÓD WYDAWCÓW — MARKIZ DE SADE I NIEWIASTY NIEPOSPOLITE — POLIGRAFICZNA SZYBKOCĆ BEZPIECZNA — Z CZEGO REZYGNUJĄ? — TRUDNOŚCI OBIEKTYWNE — OPTYMISTYCZNA POINTA.

W Dniach Oświaty, Książki i Prasy Księgarze wyrzucają na kiermasze zasoby bestsellerów pieczołowicie chowane w magazynach na tę okazję. Są to oczywiście bestsellery minionego sezonu wydawniczego. Ale, jakie będą księgarskie szlagiery w roku przyszłym? Jakże książki przysiądzą się głośno w roku 1972?

„Przegląd Księgarski i Wydawniczy” dokonał na ten temat sondy wśród 25 wydawców. Zadano pytanie: „którą z książek zaplanowanych przez Pańskie Wydawnictwo na rok 1972 uważa Pan za najcenniejszą i dlaczego?”. Z tych typowań 25 wydawców miało się wyłonić li-

sta ewentualnych książek roku 1972. Jako, że futurologia jest zawsze rzeczą ciekawą, przedstawiam czytelnikom niektóre hipotezy na temat bestsellerów bieżącego roku. Wydawnictwo „Iskry” na przykład typuje „Koniec świata szwależerów” Mariana Brandysa, książkę przedstawiającą w szerokim, panoramicznym ujęciu obraz przemian politycznych i społecznych w Królestwie Polskim. Nie jeden raz interesująca proza historyczna Mariana Brandysa trafiała na listę bestsellerów. Będzie tak zapewne i tym razem.

Trafia chyba także w dziesiątkę PIW, typując nowe książki Zalewskiego,

Kuśniewicza, nieznaną powieść Witkacego „822 upadki Eunga” oraz pracę Tadeusza Drewnowskiego o Tadeuszu Borowskim. PIW typuje kilka książek, bo przecież pod tą firmą ukrytych jest właściwie kilka wydawnictw (Literatury Współczesnej, Klasycznej, Historii Literatury...). Już dziś sprawdziła się prognoza Wydawnictwa „Sport i Turystyka”, które typowało „Szybkocć bezpieczną” Sobiesława Zasady. Istotnie — książka już zniknęła, co wcale nie dziwi, bowiem wydano ją w nakładzie 50 tys. egzemplarzy, a zamówienia sieci księgarskiej (z zasady dość ostrożnej) przekraczały 100 tysięcy. Samochodzary w Polsce mamy coraz więcej, a nazwisko autora, trzykrotnego mistrza Europy i reklamą znakomitą i gwarancją, że obujemy z autorytetem.

Wierzę także w typy Wydawnictwa: Lubelskiego i Łódzkiego, które proponują „Wiek markiza de Sade” Jerzego Łojki i „Wizjerunki niepospolitych niewiast staropolskich” Zbigniewa Kuchowicza. MON poleca „Wielką koalicję 1941-1945” Włodzimierza T. Kowalskiego, Wydawnictwo Literackie „Sztukę polską” Tadeusza Dobrowolskiego,

Oczywiście to zaledwie parę pozycji wytypowanych przez wydawców do miana Książki Roku. Wymleniłem tylko te, które mogą zainteresować najszersze kręgi czytelników i które — co tu kryć — sam uważam za typy właściwe. Jak będzie, czas pokaże.

Jest jednak w ankiecie „Przeglądu” jeszcze jedno pytanie. Niestety smutne pytanie i smutne są odpowiedzi. „Z wydania jakiej pozycji i dlaczego musiał Pan zrezygnować w roku 1972, choć zdawał Pan sobie sprawę, że istnieje na nią ewidentne zapotrzebowanie czytelników?”.

Na pytanie: „dlaczego?” odpowiedź jest właściwie jednoznaczna — w wszystkich wydawców — brak papieru, brak mocy produkcyjnej, trudności finansowe, trudności poligraficzne... Bez komentarzy.

Przyjrzyjmy się jednak, jakich książek nie będzie w tym roku z owych obiektywnych przyczyn. „Iskry” zrezygnowały więc ze słynnego „Hrabiego Monte Christo” Dumasa, PIW z „Trylogii”, PAX ze wznowienia (po 15 latach) albumu „Dni Powstania”, Wydawnictwo Ekonomiczne z „Matej Encyklopedii Ekonomicznej”, Wydawnictwo „Sport i Tu-

rystyka” nie mogło wydać „Encyklopedii Tatrzaskiej”, Wydawnictwo Morskie zrezygnowało ze wznowienia poszukiwanej książki E. Kosiarza „Bitwy morskie”, Wydawnictwo Łódzkie z serii poetycznych powieści Dumasa... Powyższa, jakże niepełna, lista książek daje nam obrazek dość zasmucający. Z jednej strony czytelnicy stojący w kolejce po książki — z drugiej — te same książki stojące w kolejce do czytelnika. Pośrodku nasza niedoinwestowana, nienowoczesna baza poligraficzna. Drukarnie, papiernie nie mogące sobie poradzić z produkcją słowa, na które zapotrzebowanie w społeczeństwie tak niepomiaralnie wzrosło.

Wiem, że nie zachowuję reguł gry, pisząc takie rzeczy w Dniach Oświaty, Książki i Prasy. Aby więc nie wypaść zupełnie z konwencji okazjonalno-laurowej powiem, że choć jest tak źle, to jednak jest dobrze. Jest dobrze, bo ciągle i nieustannie rośnie w społeczeństwie potrzeba książki, wiedzy, literatury. To jest akcent optymistyczny. A trudności? No, cóż — te, jak wiemy z doświadczenia, są zawsze przejściowe.

Jerzy Widok

Bez strachu

SARENKA

Nauczyciel: Dzieci. Proszę się zastanowić. Co zrobicie, jeżeli spotkacie małą sarenkę w lesie?

Dzieci: Nie nie zrobimy. Sarenka ucieknie.

Nauczyciel: Ale jeżeli sarenka będzie tak mała, że nie potrafi uciec?

Dzieci: Każda sarenka potrafi uciec, nawet najmniejsza. Jeżeli nie potrafi uciec, to znaczy, że chorą, że w ogóle z nią kłops.

Nauczyciel: Fe, jak ty nieładnie mówisz! Obawiam się także, że nie kochasz zwierząt!

Dzieci: Panie profesorze, proszę bez insynuacji. A sarenka potrafi uciec, bo sarenka w ogóle jest od uciekania! Pytanie Pana Profesora powinno brzmieć: „Co zrobicie, jeżeli spotkacie umierającą sarenkę?”.

Nauczyciel: To ty, niedobre dziecko, insynuujesz mi błędy dydaktyczne. Ponadto używasz niewłaściwego tonu w dyskusji. W odpowiedziach. Zatem pytam, co zrobicie, jeżeli spotkacie w lesie małą, prawie umierającą sarenkę, sarenkę, która nie potrafi już uciec.

Dzieci: To, co Pan Profesor mówi, to czysta konstrukcja myślowa empirycznie niesprawdzalna, przedmiotowa i przyrodniczo niemożliwa. Zwierzęta umierają w odosobnieniu, wiedziona niezawodnym instynktem znajdują sobie miejsca ustronne, w których mogą dowoli zażywać zgonu.

Nauczyciel: Dziecko, ty obecnie powstrzymaj się od odpowiedzi, a wy, dzieci, słuchajcie uważnie: Co zrobicie, jeżeli spotkacie w lesie małą, prawie umierającą sarenkę, sarenkę, która nie potrafi już uciec?

Dzieci: Będziemy ją ścigać!

Nauczyciel: Przecież ona nie będzie już uciekać!

Dzieci: Tym lepiej!

Nauczyciel: Sądząc, że nie zamierzacie uczynić jej nic złego!

Dzieci: Pieczeń sarnia!

Dzieci: Brak wam kultury kulinarnej. Przecież trudno wykluczyć to, że owa sarenka umiera na zaraźliwą chorobę.

Nauczyciel: Dzieci? Pytam zatem: Co zrobicie, jeżeli spotkacie w lesie małą, prawie umierającą sarenkę, sarenkę, która nie potrafi już uciec, sarenkę, która nie umiera na zaraźliwą chorobę?

Dzieci: Pan Profesor podlega zdumiewającym obsesjom — zapelnia Pan ich produktem najpiękniejszego, bezgrzesznego chwile naszego życia. Ponadto, co znaczy w Pana pytaniu „prawie” — przecież, albo się umiera, albo nie, wreszcie jak może grono pozabawione weterynarza stwierdzić, że choroba nie jest zaraźliwa i czy to, że choroba nie jest zaraźliwa, uprawnia nas do mniemania, że mięso będzie smaczne?

Nauczyciel ucieka, dzieci ścigają go z Dziecięcym na czele.

BERNARD SZTAJNERT



Niedobry kuzyn

Simon Templar podniósł słuchawkę telefoniczną i nakręcił numer.

— Halo, Jacqueline, czy wiesz, kto mówi?

— Wiesz, Juliusz Cezar.

— O, jaka wspaniała pamięć. A może byśmy spotkali się dziś wieczorem i zjedli razem kolację?

— Dobrze, przyjdź do mnie około siódmej.

Templar zjawił się punktualnie. Jacqueline Laine miała dwadzieścia trzy lata, szare oczy, zgrabną figurę. Zaprosiła gościa do salonu i kazała mu przygotować koktail.

— A więc nie widzieliśmy się prawie dwa lata, zwiedziłem wiele krajów, przeżyłem różnego rodzaju niebezpieczeństwa. Lecz wróciłem cały i zdrowy. A co u ciebie słychać?

— Zmieniło się wiele, przypływały się kłopoty. Widzisz te walizki na podłodze?

— Wyprowadzasz się?

— Właśnie tak.

— Dokąd?

— Nie wiem jeszcze.

— Gdzie jest twoja babka?

— Zmarła miesiąc temu.

Simon przypomniał sobie starszą, którą często widywał w tym pokoju. Jacqueline okazywała jej zawsze wielkie przywiązanie. Straciła rodziców mając trzy lata, babka wychowywała ją jak własną córkę, lecz surowo, prawie tyrannyzując. Teraz wnuczka mogła zacząć żyć własnym życiem — pomyślał.

— Dlaczego opuszczasz swój dom? — zapytał.

— Ten dom nie należy do mnie.

— Czy babka ci nie nie zostawiła?

— Owszem, kilka listów.

— Co, kilka listów? Po tym, jak od dnia ukończenia szkoły byłaś całe życie jej niewolnicą? A co zrobiła z resztą swego majątku?

— Wszystko pozostawiła Hamiltonowi, swemu wnukowi.

— Nie wiedziałem, że miałaś braci.

— I nie mam. Hamilton Westler jest moim kuzynem. To czarna owca naszej rodziny, namiętny gracz, siedział już w więzieniu za fałszerstwo. Lecz babka zawsze miała do niego słabość, w jej oczach był chłopcem zbudowanym i zbyt żywym.

— I wszystko zostawiła dla niego?

— Tak, zaraz zobaczysz.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła testament. Simon przeczytał: „Moja drogiej wnuczko

Jacqueline Laine, która przez cztery lata zajmowała się mną troskliwie zostawiam sto funtów oraz listy pisane do mnie przez Sidneya Farlance. Jestem pewna, że pozna się na ich niewielkiej wartości. Resztę mego majątku wraz z domem i ruchomościami zostawiam drogiemu wnukowi Hamiltonowi Westlerowi.”

— Co za niesprawiedliwość! Powinien się z tobą podzielić pieniędzmi.

— Zostało niewiele, tylko cztery tysiące funtów.

— Mogłoby się zadowolić połową.

— Nie znasz Hamiltona. J-go agenci już otrzymali instrukcje w sprawie sprzedaży domu. Za dwa dni muszę wyprowadzić się.

— Jakże świątowo! I oto wyruszyś w świat ze stu funtami!

— I listy — dodała.

— Co to za listy, do diabła?

— Listy miłosne! Jako młoda dziewczyna zakochała się, lecz rodzice nie zgodzili się na małżeństwo z biedakiem. Młodziś

niec wyjechał do Południowej Ameryki, aby tam zrobić majątek. Zmarł niedługo na żółtą febrę. Napisał trzy listy: z Gujany Brytyjskiej i Kolumbii. U-

miałem je na pamięć! Musiałam czytać je babce co wieczór, takie były dla niej cenne.

— Zwartowała, mówię ci, miała przeszło dwadzieścia lat — orzekł Templar. — I zdecydowałaś się wszystko zostawić kuzynowi?

— Cóż mogę zrobić?

— A ja mam pewną myśl, lecz teraz chodźmy na kolację...

Następnego dnia zjawił się w mieszkaniu Hamiltona nieoczekiwany gość. Przedstawił się jako adwokat Tombs.

— Przyszedłem do pana w związku z majątkiem, który pan odziedziczył po zmarłej Grace Laine. Jestem przedstawicielem stowarzyszenia górniczego „Sesame Mining Development Corporation”. Dowiedziałem się, że nieboszczka posiadała listy z dokumentem o wielkiej wartości. Zainteresowałem się nim moi klienci.

— Listy?..

— Tak. Otóż babka pańska w młodości zakochała się w pewnym Sidneyu Farlance. Rodzice nie zgodzili się na małżeństwo. Farlance wyjechał do Brazylii, aby tam zrobić majątek i wrócić po narzeczoną. Niestety,

zmarł przedwcześnie. Okazało się, że w Gujanie stał się właścicielem kopalni cennych minerałów. Obecnie odkryto w tej okolicy fantastyczne złoża, i kilenci, których reprezentuję, otrzymali koncesję na eksploatację dużej części tego terenu. W międzyczasie sprawdziliśmy, że istnieje już dawniejsza koncesja przyznana Sidneyowi Farlance, usytuowana wprost w centrum posiadłości moich klientów, bardzo bogata w minerały, może nawet jest tam złoto.

— Czy pan chce powiedzieć — zapytał Hamilton — że ta koncesja należała do mojej babki?

— Chcielibyśmy to wyjaśnić. Farlance nie zostawił spadkobierców, może więc przekazał je na korzyść pańskiej babki...

— Jeżeli dobrze zrozumiałem,

— Chciałbym cię odwiedzić — rzekł — i przeprosić, że zachowałem się niezbyt uprzejmie, ale byłem bardzo wstrząśnięty śmiercią naszej kochanej babki...

Jadąc taksówką na peryferie, gdzie mieszkała Jacqueline, czuł się jakby siedział na rozpalonych węglach. Przypominał sobie słowa testamentu odnoszące się do listów. Czy Jacqueline zdaje sobie sprawę z ich wartości? Serce mu biło jak młotem.

Gdy kuzynka otworzyła drzwi, złożył na jej czoło braterski pocałunek.

— Jackie, wybac mi mój egoizm. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że babka źle cię potraktowała za twoje poświęcenie. Dostałaś tylko listy, prawda?



chce pan kupić jej koncesję.

— Hm... Musimy najpierw ustalić czy pan posiada prawo do koncesji. Moi kilenci gotowi są zapłacić większą sumę. Możemy nawet milion funtów. Lecz musimy zobaczyć odpowiednie dokumenty. Może znajdują się one wśród listów zmarłej. Niech pan je zbada dokładnie. I jak najprędzej.

— Mam te listy, lecz nie oglądałem ich jeszcze. W tej chwili są u mojego adwokata, który wyjechał, wróci jutro, więc może pan przyjdzie po południu.

— Dobrze, przyjdę jutro. Kiedy tylko drzwi się zamknęły za panem Tombssem, Hamilton nakręcił numer telefonu kuzynki. Odebrała z ulgą, gdy usłyszał jej głos.

— I jeszcze sto funtów.

— A mnie zostawiła cztery tysiące funtów i dom. To niesprawiedliwość, muszę to naprawić! — Dziękuję, nie proszę cię o jałmużnę.

— To nie jałmużna! Chcę zachować się wobec ciebie przyzwoicie. Powinnością podzielić się pieniędzmi. Dam ci dwa tysiące funtów za listy, które ci zostawiła babka. Będą dla mnie drogą pamiątką po naszej kochanej zmarłej.

— Zrobiłeś się sentymentalny. — Wstydy się za moje dotychczasowe postępowanie, chcę być innym człowiekiem, te listy mi pomogą, zobaczysz.

— Jeżeli tak stawiasz sprawę, nie mogę ci odmówić. Chcesz listy zaraz?

— Jeżeli je masz pod ręką... Jacqueline wyjęła z szuflady listy i podała je kuzynowi. Hamilton zerwał wypłowiałą wstążkę, wyjął listy z kopert. W trzecim liście jedna z kartek różniła się od pozostałych, była poślizgnięta, zniszczona w zagłębieniach, atrament nabrał koloru rdzy, jak pisma z dawnych lat. Lecz ciężka pieczęć w rogu kartki nie straciła barwy. Hamilton czytał:

„My, Philip Edmond Wodehouse, Komendant Szlachetnego Orderu Kapieli, Gubernator w imieniu Jej Królewskiej Mości kolonii Gujana Brytyjska: na podstawie pełnomocnictwa udzielonego nam przez Radę Prywatną Monarchii oświadczamy wszem wobec, że dnia dziesiątego przyznaliśmy Sidneyowi Farlance, poddanemu Jej

— Oto dwa tysiące funtów, Jackie. Zdjęłem sobie ciężar z serca. Jeżeli będę mógł coś jeszcze dla ciebie zrobić, zawiadom mnie natychmiast.

— Zrobiłeś więcej niż mogłabym wymagać. Naprawdę czegoś?

Lecz Westler odmówił, chciał napić się w domu — szampa-na!

Dwie godziny później Simon Templar wrócił do domu Jacqueline. Szalała z radości.

— Simon, przyniosłeś mi szczęście. Nie masz pojęcia co mi się wydarzyło!

— Wiesz, Twój kuzyn był tutaj, powiedział, że woli listy drogiej babci od pieniędzy i wypłacił ci kupę pieniędzy!

Jacqueline zdziwiła się. — Dał mi dwa tysiące funtów za listy. Skąd wiesz o tym?

— Dziś rano pewien adwokat odwiedził go w domu i powiedział, że Sidney Farlance zdołał koncesję na kopalnię o nieobliczalnej wartości w Gujanie Brytyjskiej. Ze w listach zapewne znajduje się coś, co może być warte milion funtów.

— Koncesja na kopalnię?.. Nie zauważyłam, żeby coś takiego znajdowało się w listach.

— Nie mogłaś widzieć, gdyż włożyłem ten dokument dopiero dziś rano podczas gdy ty jadłaś śniadanie. Przez prawie pół nocy układałem imitację tej koncesji. No i udało mi się. Tak się ucieszyłam, że zapomniałam zabrać koperty!..

Nagle zadzwieczał dzwonek u drzwi wejściowych. Wszedł jakiś mały, różowy człowieczek. Uśmiechnął się na widok Jacqueline.

— Nazywam się Horatio Ives. Posładam bezcenną kolekcję znaczków. Interesują mnie listy, zmarłej pani Laine, które mi kiedyś pokazywała. Chciałabym je kupić za każdą cenę.

— Co, interesuje się pan listami miłośnymi Sidneya Farlance? — jęknął Templar.

— Tak, zapłacę dziesięć tysięcy funtów, a jeżeli...

Ives nie dokończył zdania. Rzucił się w kierunku biurka i schwył leżące tam koperty. Powiewał nimi radośnie jak sztandarem. — Oto one! Jedyną egzemplarz znaczków czernono-fioletowych Gujany Brytyjskiej z 1836 roku. Będą ozdoba moich zbiorów!

— Proszę pana, chce pan powiedzieć, że interesują go tylko znaczki a nie listy? — zapytał Simon.

— Tak, tylko znaczki. Templar westchnął z ulgą, potem wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła.

— W takim razie — rzekł do Jacqueline — możemy omówić z panem interes.

Dziewczyna skinęła głową uśmiechnięta radośnie.

Oprac. A. S.



Lewym okiem

ZAKOŃCZENIE KONGRESU

Człowiek we współczesnym świecie żyje pod nieustannym ciśnieniem miliona nakazów i zakazów, jest wiecznie poszturchiwany, ustawiany, strofowany i monitowany. Czegokolwiek by się nie jął — nigdzie nie jest ani pierwszym, ani jedynym. Każda czynność, ba — każda zachcianka dawno już instytucjonalizowana, ujęto w karby organizacyjne, nadano statut.

Niektórzy próbują na siłę potargać omotującą ich sieć społecznych konieczności. Nie mówię zresztą o przestępcach, o buntownikach zapuszczających włosy do kolan i nie myjących szyi na znak protestu przeciw nakazom higieny. Ludzie stateczni i nobliwi usiłują uciekać, a to w pasje zbierackie, a to pod namioty na dzikich wiślanych lachach. W zachodniej prasie ogłasza się nowy sposób spędzenia urlopu: w autentycznym wozie cygańskim przez puste wrzosowiska Irlandii. Tam nie ma nic: basenów, kawiarni, sopockiego mola, kapeli. Jest względna samotność. Wszystkie wozy wyprzedane.

Żyje jeszcze na świecie kilkaset osobników — wyłącznie płci męskiej — którzy znaleźli sobie przed kilkudziesięciami laty miejsca oddalone od szlaków uczęszczanych przez ludzi, przez ciężarówkę, pociągi, statki. Osiedlili się w leśnych ostępach, w górskich jaskiniach, w różnych takich Bieszczadach i Pamiarach. Dziś cywilizacja podeszła do nich i tak, wyrzuciła ryby w rzekach, zasmrodziła leśne aromaty, wygubiła ptaszka i zwierzyinę płąwą. Co mają robić pustelnicy? Każdy z nich samotnie, w pojedynkę, jest niczym. Jest głosem niknącym w wielomilionowym chórze mas. Pustelnicy powinni się zrzeszyć, zewrzeć szeregi, zestrzelić myśli w jedno ognisko. Dalej to już fantazja, o czym uczciwie uprzedzam.

W jednej ze stolic świata zwołano kongres pustelników. Było przy tym trochę kłopotu co do języka, w jakim mają się toczyć obrady, ostatecznie jednak przypomniano sobie, że pustelnicy raczej milczą, nie lubią gadać, wystarczy im wymowne spojrzenia i oszczędne gesty. Referat zasadniczy — właśnie przy pomocy spojrzeń i gestów — wygłosił pewien kanadyjski Francuz, żyjący od osiemdziesięciu lat w części chińskiego Tybetu, opanowanej przez perskich Kurdów. Pustelnik ten od pół wieku nie widział ludzkiej twarzy i widok wielu takich twarzy naraz przyprawił go o nieopisaną abominację. Raz na tydzień sprzątała jego grota pewna — nie wiadomo, czy kobieta, czy panna, czy samica — w każdym razie przedstawicielka rodu yeti, całkiem bezpłatnie; czasami, gdy wiał porywisty tornado czy też samum, zostawała na noc, nie żądając w zamian żadnych deklaracji słownych ze strony Pustelnika.

W dyskusji żywo gestykułował tybetański Chińczyk, osiadły w kanadyjskich puszczech. Jedynym jego znajomym był człowiek imieniem Arkady, jego książki używał Chińczyk do podpierania stołu

z bierwion dębowych. To była dobra książka, wytrzymała już trzydzieści lat. Chińczyk żądał zaniechania budowy miast w promieniu trzystu kilometrów od każdej pustelni, na co Indianin z plemienia Batokudów oświadczył, że nie wie co to jest miasto i prosi o nieużywanie wymyślnych słów dla czczego popisywania się przed publicznością.

Na obiad podano owoce dzikiej jarzębiny i czystą, źródłaną wodę. To kosztowne przyjęcie sfinansowała dyrekcja hotelu, w którym popasali pustelnicy; od tamtej pory źródłana woda stała się główną, reklamową specjalnością tegoż hotelu, często zresztą fałszowaną przy pomocy francuskich szampańów. Po przerwie przewodniczący kongresu zwrócił uwagę, aby nie ograniczać się do spraw bytowych, które zaczęły dominować nad tematyką obrad. Niepokój starych pustelników budzi zwłaszcza brak narybku, spadek kwalifikacji amatorszczyzna wśród ludzi, udających się w ustronne miejsca z plecakami pełnymi konserw! Postanowiono powołać instytut do spraw pustelniczych oraz odpowiedni wydział przy jednej z wyższych uczelni, poświęconych badaniom kultur pierwotnych. Pustelnicy uznali też za konieczne wydawanie stałego pisma, najlepiej miesięcznika, pod tytułem „Organ na puszczy”, w którym mogliby dzielić się swymi doświadczeniami i podnosić kulturę pustelniczą do poziomu epoki. Apelem o żywsze włączenie się w nurt pustelniczy zakończono obrady.

Mamy więc oparcie. Kogokolwiek znuży reglamentacja społeczna, nieunikniona w świecie nowoczesnym, kto zapagnie na chwilę być sam ze sobą — czekają na niego szeregi Związku Pustelników. Statut do wglądu w Redakcji. Mnóstwo szeregi pustelników! Razem do osobności!

CWIEK